Rok VIII. Listopad 1902. Nr. 11.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY POLITYCE NARODOWEJ

ORAZ ZAGADNIENIOM ŻYCIA SPOŁECZNEGO, EKONOMICZNEGO I UMYSŁOWEGO.

Redakcya i Administracya: **Kraków**, ul. Jabłonowskich, 9.

POŁPOLACY.

Ostatni rok sprawy ruskiej w Galicyi ogromnie się przyczynił do uwydatnienia w całej Polsce rozłamu opinii, występującego od szeregu lat coraz wyraźniej i będącego jednem z najważniejszych, najdonioślejszem może w skutkach zjawiskiem naszego życia. Kwestya ruska stała się niejako kamieniem probierczym poczucia solidarności narodowej w naszem społeczeństwie.

Dopóki stanowisko narodowe naszej opinii wyrażało się w stosunku do ucisku rosyjskiego lub niemieckiego, do ucisku państwowego, na który tradycya zostawiła nam szablonowy pogląd, potępiający ucisk ten wszędzie, zarówno u siebie, jak u obcych, pogląd tedy, nie mający właściwie podstawy narodowej, dopóty zdawało się nam, że silne uczucie narodowe jest właściwością całego ogółu naszego, że narodowa spójność znamionuje nasze społeczeństwo więcej, niż jakiekolwiek inne. Kiedy natomiast na porządek dzienny przyszła sprawa, w której musieliśmy wystąpić energicznie przeciw żywiołowi, podającemu się za uciśniony przez nas a dążącemu do wyparcia nas ze stanowiska, zajmowanego przez naszą kulturę i naszą narodową mniejszość, przeciw żywiołowi niepaństwowemu, do którego nie można było zastosować utartych, «ogólnoludzkich» szablonów, kiedy zaszła potrzeba, żeby się wypowiedział nasz zdrowy instynkt, nasze poczucie spójności i przywiązanie do wspólnego narodowego dobra, okazało się, że wśród licznej sfery ten instynkt i to przywiązanie nie istnieje, że znaczna część t. zw. inteligencyi naszej skłonna jest do zajmowania stanowiska sędziów rozjemczych między Polakami a ich wrogami w Galicyi wschodniej, że wielu nawet, bez wahania, z pewną znajomością

stosunków czy z całkowitą w tym względzie ignorancyą, staje po stronie wrogów.

To stanowisko uwidoczniło się we wszystkich trzech zaborach i w różnych, daleko od siebie pod innymi względami stojących stronnictwach, poczynając od socyalistów z krakowskiego *Naprzodu*, a kończąc na zwolennikach Rosyi z peterburskiego *Kraju;* z niego też patrzy na sprawę znaczna część inteligencyi, politycznie bezbarwnej. I nie było bodaj napaści ze strony obcych, którаby nie znalazła sympatycznego gdzieś echa w naszem społeczeństwie.

Nieraz już zwracaliśmy uwagę na ten nienarodowy sposób myślenia i staraliśmy się wykazać jego źródła, nigdy wszakże dotychczas nie występował on tak wyraźnie, nigdy z taką namiętnością nie rzucał się na zasady narodowe w polityce, i my więc, pragnąc w nim widzieć tylko brak politycznej dojrzałości, przemijające uleganie ujemnym wpływom zewnętrznym i wynikającą stąd niezdolność do realnego pojmowania spraw narodowych, odnosiliśmy się do niego raczej pedagogicznie, usiłując argumentami zwrócić umysły na właściwą drogę. Coraz oczywistszym atoli jest faktem, że mamy tu do czynienia z istotnym, głębokim rozłamem opinii, nie polegającym na różnicach poglądów w poszczególnych sprawach, ale na zasadniczo odmiennym, na przeciwległym wprost stosunku do społeczeństwa, do jego interesów i aspiracyi, że źródło tego rozłamu — to nie mniejsze lub większe wyrobienie umysłowe, takie lub inne wpływy przemijające, ale głębokie, nie dające się w ciągu jednego życia ludzkiego wygładzić różnice psychiczne, różnice w ustroju moralnym człowieka. Tu już niema mowy o przekonywaniu się wzajemnem — ono nie prowadzi do niczego; tu trzeba się pogodzić z istnieniem pewnego typu, a tylko dążyć do ograniczenia go w rozroście, starać się, ażeby w interesie narodowej przyszłości co prędzej zanikał.

Mamy tu do czynienia z jednej strony z ludźmi, którzy przyjęli język polski i polskie zwyczaje — tyle, ile potrzeba do tego, żeby żyć w polskiem środowisku, ale nie przyjęli obowiązków, jakie to korzystanie z polskiego życia na każdego nakłada, nie zespolili się z dążeniami narodowej całości ku jej samozachowaniu, ku zdobyciu w przyszłości samoistnego bytu i warunków pełnego rozwoju; z drugiej strony idą tu przeciw narodowemu interesowi ludzie, bądź zasymilowani przez pierw-

szych, bądź wynarodowieni moralnie pod zewnętrznymi wpływami, ludzie, którzy zatracili związek z aspiracyami narodu, którzy, uważając się za Polaków, interesy polskie o tyle tylko uznają, o ile nie sprzeciwiają się one interesom innych ludów, którzy w swych uczuciach narodowych do takiej dochodzą wrzekomej bezstronności, że w imieniu narodu ze wszystkiego gotowi zrezygnować, do czego ktokolwiek rości pretensyę.

Ten gatunek Polaków z imienia i języka licznie się rozrodził w popowstaniowym okresie upadku narodowego ducha, a nawet na krótki czas zapanował w opinii, asymilując szybko młode pokolenie. Ludzie ci przyzwyczaili się do myśli, że miano Polaka nie będzie nigdy nakładało większych obowiązków po nad te, do których oni się poczuwają. Stąd ta namiętność, to zajadłe występowanie przeciw ruchowi odrodzenia narodowych aspiracyi, czyniącemu w ostatnich latach szybkie zdobycze.

Pracując nad zespoleniem narodu nawewnątrz, nad zszeregowaniem go do walki zewnętrznej, nad wzmocnieniem jego mniejszości na zagrożonych kresach, nie łudźmy się, że ci ludzie z nami pójdą. Broniąc się przeciw rozszerzeniu obowiązków narodowych, zajmują oni coraz wyraźniej stanowisko wroga wewnętrznego, dążącego do osłabienia węzłów narodowych, do rozbicia spójności, do zamienienia w osypującą się kupę gruzu, tego co murem stać musi.

Z tymi ludźmi nietylko nie pogodzimy się, ale nie zrozumiemy się nigdy. Dla nas Polska — to przedewszystkiem naród polski, ze swą kulturą i tradycyą, z odrębną duszą i odrębnemi potrzebami cywilizacyjnemi, to żywy, organiczny związek ludzi, mających wspólne w pewnym zakresie potrzeby i interesy, związek, nakładający ścisłe obowiązki, złączone z poświęceniami osobistemi, nakazujący pracę na rzecz zbiorowych potrzeb i walkę w obronie wspólnych interesów; dla nich — to luźne zbiorowisko jednostek, grup lub warstw, mających tylko to wspólnego, że żyją na jednej ziemi, że jednym, i to nie zawsze, mówią językiem, nie związanych głębszymi węzłami moralnymi, nie mających wspólnych potrzeb, ani wspólnych obowiązków po nad potrzebę sprawiedliwości i obowiązek czuwania nad tem, żeby ta się wszędzie działa; gdy oni we wszystkich starciach narodu naszego z obcymi uważają za możliwe zajmować stanowisko bezstronne, «zgodne ze słusznością», my w stosunkach międzynarodowych znamy rozległą sferę spraw, w których nie-

ma ani słuszności, ani krzywdy, jeno współzawodnictwo nie dających się pogodzić interesów, w których staje się po jednej lub drugiej stronie nie z poczucia sprawiedliwości, ale z poczucia solidarności z jedną ze stron walczących; oni chcą zawsze i wszędzie być tylko ludźmi, stojącymi na straży nieistniejącego lub wyszydzanego prawa, my żądamy od każdego, żeby w stosunku swego narodu do obcych czuł się przedewszystkiem Polakiem.

Między temi dwoma stanowiskami istnieje przepaść niewyrównana i niema dziś mostu, któryby nad nią można było przerzucić. Antagonizm między niemi — to nie walka o to, czy polityka polska pójdzie w takim lub innym kierunku, czy te lub inne poglądy będą w niej górowały, czy te lub inne warstwy narodu otrzymają przewagę w jego polityce, to sprawa stokroć donioślejsza i głębsza: tu idzie o to, czy mamy być silnym i spójnym narodem, który sam swą przyszłość tworzy i sam usuwa tamy, kładzione na drodze jego rozwojowi, czy pozbawioną cementu moralnego gromadą, o tyle istniejącą razem, o ile ją podtrzymują przyrodzone warunki, szukającą ciągle oparcia nazewnątrz, obrywaną i podmywaną u podstaw przez każdą burzę. To nie kwestya, jaka będzie Polska, ale — czy będzie!

W walce o taką sprawę niema kompromisu, niema tolerancyi. Albo ci, co czują potrzebę narodowej spójności i stoją na gruncie obowiązków ściśle narodowych, będą zwyciężeni, ustąpią, otwierając pole rozkładowi narodowego ducha i atomizacyi społecznej, albo zwyciężą, i wtedy owi połowiczni Polacy zmuszeni zostaną w sprawach narodowych do milczenia.

Ale narodowy instynkt i narodowa myśl zwycięży. Jej wrogowie są dziećmi okresu, w którym warstwa oświecona narodu szybko pomnożyła się żywiołami obcymi, w którym na miejsce odrzuconych ideałów tradycyjnych importowano ich surogaty z obczyzny, w którym wreszcie wpływy, wynaradawiające myśl i serce, zaczęły działać ze wzmocnionym naciskiem, a naród, w ostatecznej prostracyi ducha, nie mógł wytworzyć w sobie sił, zdolnych stawić należyty opór temu wynaradawianiu, zasymilować obce prądy i narzucić obowiązek solidarności wchłoniętym świeżo żywiołom. Dziś przyszedł okres inny, okres wystąpienia na widownię rdzennie polskiej masy ludowej, która sama, jako masa, wpływ już na myśl ogółu wy-

wiera, a jednocześnie szybko zasila swymi synami warstwę oświeconą. Ten ruch ludu odbił się w społeczeństwie obudzeniem śmiałej i żywotnej myśli narodowej, on też, wzrastając, zapewni jej prędkie i niezawodne zwycięztwo nad wszelkiemi próbami rozkładu narodowej siły.

Rasa «półpolaków» musi zginąć.

STRONNICTWA A INTERES NARODOWY.

Gdy zastanawiamy się nad pytaniem, dlaczego mimo liczebnej i terytoryalnej wielkości upadło nasze państwo i gdzie spoczywa źródło słabości naszej dzisiaj, opinia najwięcej wśród nas rozpowszechniona głosi, że przyczyną dezorganizacyi, a w następstwie i upadku państwa była nasza niezgoda. Przeżyła ona jakoby zrządzone przez się klęski i dzisiaj jeszcze nie pozwala choćby w części powetować nieszczęść przeszłości. Zdanie to, które prawo obywatelstwa uzyskało i w traktatach historyozoficznych, i w pobieżnych artykułach dziennikarskich, należy do tych, które wskutek wadliwego i niedołężnego sformułowania są jednocześnie i fałszywe, i banalne. Jeżeli «niezgoda» ma oznaczać tylko niezdolność do działań wspólnych, to zdanie powyższe staje się prostą tautologią, a tłómaczenie wpada w błędne koło, zwane w logice *idem per idem.* Pospolicie pod ową «niezgodą» rozumie się szczególną cechę charakteru narodowego, która ma polegać na przesadnym indywidualizmie, na niechęci do poświęcenia swojego zdania opinii większości, na zbytniem umiłowaniu niezależności swojego sądu o rzeczach. Często też zabarwia się ten sąd ciemniej, przypisując nam kłótliwość i egoizm.

Całe to tłómaczenie nie trafia w istotę rzeczy i pełne jest sprzeczności dlatego, że pochodzi z patrzenia na zjawisko społeczno-polityczne, jako na wyraz charakteru jednostki. Ani jednej z wymienionych zalet lub wad nie posiadamy w stopniu wyższym od narodów innych, które zdobyły się na silne państwo i na spójną organizacyę społeczną. Nie odznaczamy się nazbyt niezależnością swojego zdania, przeciwnie, możnaby nam zrobić zarzut, że w sprawach ogólnego znaczenia zbyt łatwo raczej, niż zbyt trudno, ustępujemy, w stosunkach towarzyskich wcale się nie odznaczamy kłótliwością w tym względzie zdo-

bywamy nawet nieraz uznanie obcych — wreszcie nie jesteśmy ani trochę więcej od innych narodów egoistami.

Mówimy naturalnie o egoizmie w stosunku do innych jednostek, nie zaś do społeczeństwa, do narodu, do spraw ogólnych, bo tu właśnie, jak okażemy zaraz, tkwi rdzeń kwestyi.

Jeżeli często słyszymy biadania na stronnictwa, które rozbijały naszą jedność, to któż nie wie, że stronnictwa istnieją we wszystkich narodach, że wszędzie były i są walki wewnętrzne i że niekiedy nawet związane są z niemi najdroższe wspomnienia narodowe. Wszędzie istnieją różnice poglądów w kwestyach politycznych i społecznych, i byłoby nawet niekorzystnem dla całości, gdyby członkowie stronnictw wyrzekali się dla miłej zgody swoich przekonań i dążności, bo to dowodziłoby tylko słabego do nich przywiązania. Anemia wewnętrznego życia politycznego nigdy chyba nie była czynnikiem narodowej siły. Jeżeli chodzi o naszą przeszłość, to ubolewać chyba należy, że właściwych stronnictw z szerszymi celami politycznymi nie było u nas, a były tylko kliki szlacheckie, związane osobą magnata, którego celom służyły.

Nie stronnictwa, a nawet i nie same walki wewnętrzne gubią naród, bo w czasach upadku ducha i ogólnej demoralizacyi «zgoda» oznaczać może ogólny popłoch i zbiegowstwo z drogi obowiązku i, jeżeli czcimy pamięć Rejtana, to za to właśnie, że wystąpieniem swojem nie pozwolił ukoronować hańby rozbiorowej jednomyślną uchwałą sejmową.

Chodzi zupełnie o co innego — o to mianowicie, czy członkowie narodu czują swoją solidarność z całością, czy przejęci są celami ogólnymi i skłonni w imię tych celów poświęcać interesy swoje osobiste i najbliższego otoczenia. Zapatrywania na dobro narodu mogą być różne i dawać podstawę do rozmaitych ugrupowań, ale, jeżeli sprawa ogólna rzeczywiście mocno obchodzi stronnictwa, to, gdy chodzi o jej obronę, grunt do porozumienia znajdzie się zawsze, mimo że każde do celu wspólnego podążać może sobie właściwą drogą. Jeżeli zresztą stronnictwa tworzą się z odmiennego poglądu na całość interesów narodowych, nie zaś tylko dla przeprowadzenia pewnych oddzielnych spraw swoich bez względu na ogólne dobro, to z natury rzeczy liczba tych stronnictw wypadnie bardzo niewielka. Dopiero, gdy klasowe, lokalne, koteryjne i wreszcie osobiste względy decydują o tworzeniu partyi, gdy zakreślają one sobie koło interesów,

po za którem nic ich poważnie nie obchodzi, wtedy różniczkowanie społeczne nie znajduje granicy, bo nawet tę grupę, która rządzi się najjednostronniej pojmowanym egoizmem, jeszcze jest w stanie rozsadzić egoizm składających ją jednostek, które dążą ku celom czysto osobistym.

Przymioty, którym naród zawdzięcza spójność i zdolność do czynu zbiorowego, mimo podziału na różnorodne grupy, decydują o sile poczucia narodowego; nie jest ono psychologiczną właściwością oddzielnych jednostek, z góry niejako usposabiającą je do łączności, lecz jest ciężko zazwyczaj zapracowanym owocem długiej historyi, w której urabiał się naród i dojrzewała jego świadomość. Im naród wytworzył rozleglejszą i silniejszą sieć węzłów wewnętrznych, im jest spójniejszym, tem głośniej odzywa się w duszach jego członków to poczucie wspólnych celów, to poczucie interesu narodowego, i ono staje się tą siłą, która sprzeczne i współzawodniczące ze sobą grupy zdoła skierować do wspólnej pracy dla dobra narodu. Jeżeli patryotyzm ustępuje w starciu z pierwszym lepszym konkretnym interesem chwili bieżącej, to znaczy, że jego napięcie uczuciowe jest słabe: czy z tych, czy z innych przyczyn naród nie wykształcił go w sobie w tym stopniu, co narody, przodujące w cywilizacyi. W Polsce przedrozbiorowej duchowny czuł się niemal wyłącznie członkiem hierarchii kościelnej, magnat przedewszystkiem wielkim panem, dziedzicem tradycyi rodowych i przedstawicielem rodowej polityki, szlachcic nie wybiegał prawie myślą po za ciasną sferę interesów lokalnych albo interesów magnata, któremu służył: czyż stan kraju, którego tłem zasadniczem było rozczłonkowanie społeczeństwa i zabiegi o sprawy prywatne lub zbiorowe w bardzo ciasnem tylko pojmowaniu, można objaśniać «niezgodą?» Naturalnie, że niezgoda była, być musiała, ale nie jako przyczyna, lecz jako wynik ogólnego rozprzężenia.

Można powiedzieć, że w chwili upadku państwa nie byliśmy jeszcze narodem w nowożytnem znaczeniu tego wyrazu, bo właśnie brakowało nam tych węzłów psychiczno-społecznych, bez których na naród w całem znaczeniu tego słowa trzeba się dopiero wyrabiać: język i właściwości rasowe zdolne są utworzyć tylko plemię, naród jest dziełem wspólnej historyi. Ona jedynie może utworzyć całość organiczną, zespolić ją węzłami wspólnych myśli i uczuć i tchnąć w nią zbiorową duszę naro-

dową. Gdzie niema tej duszy, tam niema narodu, gdzie słabo czuć jej tchnienie w ciele narodowem, tam naród albo nie dojrzał jeszcze i w ogniu historyi wyrabiać się jeszcze musi, aby nim zostać w zupełności, albo, zatracając resztki tej duszy, staje się ciałem martwem politycznie, schodzi na stanowisko plemienne i w rękach innego narodu dostarcza materyału do budowy cudzych tkanek organicznych. W każdym narodzie są stronnictwa, w każdym z nich toczą się walki wewnętrzne, ale im więcej wart jest naród pod względem cywilizacyjnym, tem większą obdarzony jest zdolnością do jednolitego działania nazewnątrz, tem łatwiej współzawodnictwa wewnętrzne przybierają formę legalną i pokojową, tem mniej grożą one jedności państwowej i narodowej, tem łatwiej ustępują, jeżeli to jest potrzebne, względom ogólno-narodowym.

Jakkolwiek wyszkolonemu w życiu publicznem Europejczykowi wniosek ten wydać się musi oczywistym, jakkolwiek pełnemi garściami czerpać można z historyi ostatnich lat przykłady, służące mu za dowody, w szerokich sferach naszego społeczeństwa rozpowszechnione jest zdanie, że nowoczesna praktyka polityczna opiera się przedewszystkiem na antagonizmach społecznych, szczególnie klasowych, że nigdzie niema przykładu polityki istotnie narodowej, a sam wyraz służy jedynie za pokrywkę interesów klasy, albo nawet kliki niewielkiej osób, wyzyskujących w ten sposób państwo i społeczeństwo. Do takiego wniosku przyjść musi czytelnik, karmiony informacyami o stosunkach zagranicznych z naszych pism, zarówno konserwatywnych, jak postępowych, zarówno galicyjskich, jak warszawskich. Wszak w tem oświetleniu cała wojna afrykańska nie była niczem innem, jak spekulacyą garstki ludzi wpływowych na akcyach kopalni transwalskich, Chamberlain ich posłusznem narzędziem i zapewne wspólnikiem, a parlament angielski chyba stadem baranów, nie rozumiejących, kto i dokąd go wiedzie. Nie przeczymy, że, z punktu widzenia kosmopolitycznego, albo nawet angielskiego aferzysty, mogła wojna ta być przedewszystkiem wielką operacyą finansową, tak, jak dla dostawcy sposobnością do zrobienia korzystnego interesu, dla dzienników źródłem sensacyjnych wiadomości — ależ chyba obok tego była wojna czemś dla narodu angielskiego i dla jego przyszłości.

Przyglądając się życiu politycznemu innych narodów

i wydając sąd o nich, zdradzamy nieraz nasze własne nałogi, przenosimy niejako na rozważany przedmiot własną naszą praktykę polityczną. Nie umiejąc na najważniejsze nasze kwestye ogólne spojrzeć z punktu widzenia narodowego, lecz tylko z punktu widzenia drobnych interesów partyjek, koteryjek i efemerycznych stronnictw, umyślnie zamykamy oczy na szersze widnokręgi, jakie dany fakt otwiera, i z zadowoleniem powtarzamy w dziennikach plotki stronnicze, które nam wystarczają do objaśnienia faktu.

Istnieje nietylko interes narodu, interes stronnictwa lub grupy, mniej lub więcej licznej, ale i mniej lub więcej ciasny punkt widzenia stronnictwa, z którego spogląda ono na fakty, mające znaczenie najdonioślejsze dla ogółu. Ale tak, jak zapatrywania dorożkarzy albo przedsiębiorców budowy tramwajów nie wyczerpują znaczenia, jakie same tramwaje mieć mogą dla miasta, tak różnobarwna sieć interesów prywatnych, lokalnych, koteryjnych i stronniczych, która owija się koło każdej wielkiej sprawy narodowej, nie wystarcza do oceny jej z punktu widzenia ogółu.

Jeżeli ciasnem pojmowaniem kwestyi narodowych u społeczeństw obcych, dajemy sobie świadectwo ubóstwa politycznego, to zawdzięczamy je przedewszystkiem niedojrzałości naszego własnego życia społecznego i politycznego; ostatnie jest zduszone w zaborze rosyjskim, w Galicyi zaś służy za dobitny przykład rozproszkowania polityczno-społecznego, braku szerszej myśli, rozbicia społeczeństwa nie na stronnictwa w europejskiem znaczeniu tego wyrazu, lecz na luźne towarzystwa, zawiązane w celu eksploatacyi niwy politycznej na rzecz bardzo wązko pojmowanych interesów. To też i w Królestwie, i w Gacyi znaczną cieszy się popularnością teorya klasowa stronnictw, a powodzenie swoje zawdzięcza głównie temu, że uderza w jedność narodową. Ludzie są zadowoleni, gdy zakorzenione oddawna nałogi znajdują uświęcenie nowej «naukowej» teoryi, to też wyznawcy jej, którzy sądzą, że nowoczesne społeczeństwa znajdują się na najlepszej drodze postępu, jeżeli rozpadają się na obce sobie, niczem prócz współzawodnictwa nie związane stronnictwa klasowe, wyznawcy owi nie dostrzegają faktu, że teorya klasowa dobra do rozbicia narodu, a właściwie do sankcyi rozbicia już istniejącego, okazuje się mało przydatną do konsolidowania rozproszkowanego społeczeństwa w grupy więk-

sze, choćby nawet tylko klasowe. W narodach spójnych i żywotnych podział na klasy nie rozerwie nigdy poczucia narodowego, wiążącego je ze sobą mimo walk wewnętrznych, w narodach zaś rozluźnionych wewnętrzne różniczkowanie stronnictw klasowych idzie dalej pod wpływem czynników lokalnych, zawodowych, wreszcie osobistych, jak np. ambicya jednostek, pragnących zostać przywódcami stronnictwa choćby efemerycznego. Tak długo jednak na literaturze broszurowo-agitacyjnej kształcono naszą młodzież, tak dobrze teorya rozczłonkowania społeczeństwa odpowiadała naszym gustom i zadawnionym nałogom, że w umysłach inteligencyi naszej zdążył się wytworzyć i skostnieć nawet szemat polityczny, według którego rzekomo podąża współczesny rozwój polityczno-społeczny Europy. Szemat ten streszcza się w tem, że obecne stronnictwa mają charakter wyłącznie niemal ekonomiczny, «uświadamianie» pewnej klasy równa się wyodrębnieniu jej z organizmu narodowego i postawieniu swoich celów po nad interesy całości, że wreszcie przepaść między stronnictwami, w ten sposób utworzonemi, wciąż pogłębiać się będzie, usuwając ze świadomości zbiorowej pojęcie interesu narodowego. Pogląd ten bynajmniej nie stanowi własności wyłącznej socyalistów, jakkolwiek ostatni propagowali go gorliwie: *explicite* czy *implicite* tkwi on głęboko w pojmowaniu współczesnej dynamiki społecznej przez różne sfery społeczeństwa, a jeszcze niedawno *Czas* zdemaskował istotne swe zapatrywania, uważając w zasadzie nawet za niemożebne i niepożądane wspólne działanie stronnictw w interesie ogólnonarodowym.

Pobieżny nawet rzut oka na historyę polityczną wieku XIX i na praktykę partyi opozycyjnych prowadzi do wniosku wręcz przeciwnego. Początek wieku zeszłego to szereg wielkich przeobrażeń państwowych w duchu liberalnym i demokratycznym. Wśród walki przeciw absolutyzmowi wytworzyła się ideologia, że wojny i całą wogóle politykę zagraniczną prowadzi się jedynie w interesie monarchów dla zadowolenia ich ambicyi i rozszerzenia władzy. Nie ulega wątpliwości, że przedsiębiorcza monarchia, prowadząc silną politykę nazewnątrz, wzmacnia tem samem swój urok, swoją władzę i rozszerza terytoryum swojego panowania; dowodzi to tylko, że w tym wypadku interes panującego schodzi się z interesem narodu, jakkolwiek w wypadkach oddzielnych możliwem jest, że wbrew żywotnym

potrzebom narodu monarcha rzuca się w awanturniczą politykę nazewnątrz, aby odwrócić uwagę od położenia wewnętrznego i pożądanych reform. Zwalczając jednak absolutyzm, głoszono nieraz, zapewne w dobrej wierze, że z chwilą, gdy on runie, współzawodnictwo narodów samo przez się ustanie. Złudzenia podobne pierzchły z chwilą, gdy monarchie wszędzie prawie zostały ograniczone, gdy dawniejsze partye opozycyjne, dostawszy się do władzy, zapoznały się z praktyką rządów i poczuły odpowiedzialność, jaką nakłada władza. Nietylko oddzielne partye, zwłaszcza odsunięte od wpływu, mogą potępiać lub lekceważyć kwestye polityki zagranicznej, może to pozornie robić nawet większość narodu, ale tylko dlatego, że wie ona, iż na straży tych interesów stoi państwo i stoi władza naczelna; z chwilą jednak, gdy naród sam w rządach uczestniczyć zaczyna, musi na swe barki wziąć i ten ciężar, który zrazu wydawał mu się niepotrzebnym balastem. Analogiczna zmiana stanowiska dokonała się w niektórych państwach, w niektórych zaś dokonywa się przed naszemi oczami w stosunku warstw upośledzonych do warstw uprzywilejowanych, posiadających dawniej wyłączny prawie wpływ na politykę państwową. Dobijając się swojego udziału, partye opozycyjne oskarżały swoich przeciwników, nie tylko o to, że tamte wyzyskiwały interes narodowy dla swoich celów, lecz o to nawet, że ostatni jako taki nie istnieje po za sferą wewnętrznych zagadnień, o które właśnie jedynie dbać należy. W Anglii stanowisko podobne zajmowała partya wigów około roku 1830, gdy uwagę ich pochłaniały wielkie reformy demokratyczne; decydował tu zresztą nie doktryneryzm, lecz względy praktyczne. Istotnie najważniejszą rzeczą dla Anglii ówczesnej było przeprowadzenie reform wewnętrznych i dla pracy tej rzeczywiście można było nieco odłożyć na bok sprawy zewnętrzne. Stronnictwo liberalne po przeprowadzeniu reform, dzierżąc w swych rękach rządy, oczywiście nie usuwało się od spraw polityki zewnętrznej, a dawne jego zapatrywania przechowały się tylko u radykalistów, którzy po doktrynersku patrzą jeszcze dzisiaj na te kwestye. Wreszcie obecnie jesteśmy świadkami utworzenia się w stronnictwie liberalnem frakcyi imperyalistycznej, zupełnie zrywającej z zapatrywaniami dawniejszemi. Ewolucya ta dokonała się nieco inaczej, niż tego spodziewali się posłowie rosyjscy w Londynie, między rokiem 1830 i 1840, którzy donosili

swojemu rządowi, że wielka reforma wyborcza sprowadzi zupełne rozprzężenie, że zniknie dawna konsolidacya stronnictw, że izba gmin stanie się zebraniem oddzielnych członków, że wreszcie — i to najważniejsza — jak się wyraża ambasador rosyjski, «duch partyjny zabił w Anglii duch polityczny». Przepowiednia, uogólniająca nastrój podczas kryzysu, chybiła oczywiście.

We Francyi, tym kraju wstrząśnień, gdzie walka partyi dochodziła w wieku naszym do starć zbrojnych, żadne stronnictwo, z wyjątkiem chyba anarchistów, nie ośmieliło się wygłosić hasła antynarodowego. Socyaliści francuscy, jak wiadomo, zgadzali się nawet na sojusz z carem wbrew najbardziej podstawowym zasadom socyalistycznym, ustępując w tym punkcie wymaganiom patryotyzmu, mniejsza o to, czy słusznie pojmowanego. Jeżeli teraz z ich obozu dają się słyszeć głosy przeciw temu sojuszowi, to dlatego, że już okazało się, iż ten nadziei Francyi nie usprawiedliwił. Zresztą nie wszyscy socyaliści francuscy i nie oni sami zniechęcili się do tego aliansu. Jest wiele stronniczej, a więcej jeszcze koteryjnej i osobistej prywaty we Francyi współczesnej, ale wszystkie stronnictwa w zasadzie są patryotyczne; nawet walczące ze sobą stronnictwa francuskie licytują się o dobitniejsze zaznaczanie swojego patryotyzmu.

Co się tyczy Niemiec, to zdawałoby się, że tutaj teorya ekonomiczna stronnictw święci tryumfy, tutaj głównie ją sformułowano, tutaj na zasadach jej zorganizowana została socyalna demokracya z charakterem czysto klasowym, w zasadzie przeciwstawiająca się całemu narodowi i społeczeństwu niemieckiemu. Istotny jednak charakter tej partyi nie odpowiada wcale doktrynerskiej teoryi. Zamiast odgraniczać się coraz bardziej od pozostałej «masy reakcyjnej», partya socyalistyczna z rokiem każdym traci na ostrości swych kantów w stosunku do narodu. Powszechnie zresztą wiadomo, że w łonie jej wre głucha walka między dawnym doktrynerskim socyalizmem a nowym kierunkiem, który z ciasnej sekty pragnąłby ją przekształcić na partyę reform demokratycznych, nie obcą oczywiście ogólnym interesom narodu. Główny przedstawiciel kierunku tego, Bernstein, oświadczył się w swem dziele przeciw doktrynerskiemu zwalczaniu militaryzmu, przeciw bezwzględnie głoszonej zasadzie wolnego handlu, nawet przeciw bezwzglę-

dnemu potępianiu polityki kolonizacyjnej i akcyi Niemiec na Dalekim Wschodzie. Że partya socyalistyczna nie jest tak obojętna pod względem narodowym, jak nakazuje teorya, to odczuli ostatnimi czasy «towarzysze» polscy na własnej skórze, spodziewać się zaś można, że przyszłość nie poskąpi im i nadal podobnych doświadczeń. Przeciwko kredytom na cele militarne socyaliści wprawdzie stale głosują i, chociaż były już w partyi projekty kompromisu (Schippel), to jednak bez skutku, i w tym punkcie socyaliści niemieccy stanowisko swoje utrzymali. Zauważyć jednak wypada: 1) że partya ta jest stronnictwem *par excellence* opozycyjnem, które nie spodziewa się w krótkim czasie udziału we władzy, na pierwszym więc planie stawia względy agitacyjne, tem więcej, że wie z doświadczenia, iż praktycznego znaczenia jej głos mieć nie będzie; 2) Niemcy całe są państwem rządzonem wprawdzie konstytucyjnie, ale nie parlamentarnie; parlament uchwala tylko środki na wojsko i marynarkę i oddaje je do rozporządzenia rządowi, sam nie mając prawa decydująco wpływać na organizacyę obu tych gałęzi obrony państwowej. Kto ma małą władzę, małą też ponosi odpowiedzialność. Dając tylko pieniędzy na armię i flotę, nad któremi władzy bezpośredniej nie mają, stronnictwa parlamentarne korzystają z takiej chwili, aby coś u rządu dla siebie utargować. Nie należy w tem jednak upatrywać jakiejś niechęci zasadniczej do militaryzmu. Co do centrum niemieckiego, w którem niektórzy chcą upatrywać naszego sojusznika, to właśnie polityka tego stronnictwa jest przykładem, że można stać na innem stanowisku, niż rząd i hakatyści, a jednak działać w tym samym co i oni kierunku i czasami jeszcze skuteczniej. Centrowcy nietyle zwalczają, ile ze swojego stanowiska dopełniają germanizatorską robotę rządu, którą jego oficyalne narzędzia traktują z brutalną jednostronnością. Warto się przyjrzeć naszym wrogom i przynajmniej jednego od nich się nauczyć, mianowicie, że podział na stronnictwa nie przeszkadza narodowi nazewnątrz odmiennemi drogami rodążać do wspólnego celu.

Rozwój polityczny postępuje w tym kierunku, że stronnictwo opozycyjne zrazu zajmuje stanowisko ciasne i nie wznosi się do pojmowania całości interesów narodowych, ale trwa to dopóty, dopóki wzrastający wpływ jego i udział w rządzie nie zrodzi poczucia odpowiedzialności, a praktyka życia polity-

cznego nie da mu pewnego doświadczenia, będącego najlepszem lekarstwem na wszelki doktryneryzm. Mówimy naturalnie o państwach narodowych i społeczeństwach żywotnych, a wystarcza nam to, że tak dzieje się wśród narodów najbardziej cywilizowanych i najsilniejszych. Nie podlega wątpliwości, że walka wewnętrzna może dojść do tego stopnia, iż rozsadzi budowę państwową i jedność narodową, zwłaszcza jeżeli współdziałają inne czynniki. Ale w ruinie takiej nie można upatrywać objawiania się nowych, wyższych form społecznych. Współczesny ekonomista niemiecki, Wagner, zapowiada na wiek dwudziesty zaciętą walkę ekonomiczną całego świata cywilizowanego. Jedne narody działać będą silniej nazewnątrz i te będą rosły i kwitnęły, inne, ze słabą energią zewnętrzną, trawić będzie walka wewnętrzna, która je do reszty osłabi i wyczerpie.

Państwo, jako wspólna własność narodu i organizacya obrony jego interesów nazewnątrz, zdejmuje pewną część obowiązków z jego obywateli. Dopóki państwo nie jest zagrożone, mogą oni mniej czujnie spoglądać na stosunek swojego narodu do innych, wiedząc, że władza państwowa przedewszystkiem ma za obowiązek baczyć na całość tych interesów nazewnątrz i w razie potrzeby naród przestrzedz i powołać do pomocy. Narody ujarzmione nie posiadają państwa, o ile więc chcą pozostać sobą i utrzymać swoją indywidualność, winny organizacyę państwową przynajmniej częściowo zastępować swą siłą społeczną, nie mając zaś widomego organu jedności narodowej, tem więcej pracować muszą, aby ją osiągnąć w drodze konsolidacyi wewnętrznej społeczeństwa. Że dzieje się często inaczej, że naród, utraciwszy niepodległość wskutek rozbicia wewnętrznego, w dalszym ciągu, na skutek świadomych usiłowań rządów obcych, rozprasza się i rozprzęga, jest to wynik demoralizujących wpływów niewoli, a pierwszy zdrowy odruch budzącej się do życia niepodległego energii winien się wyrazić w skupieniu się tego, co ucisk obcy stopniowo rozgniata na pył ludzki.

G. Topór.

POCHODZENIE I ISTOTA SYONIZMU.

II.

Zaznaczyliśmy już, że społeczność żydowska nie jest dziś i nawet nigdy właściwie nie była organizmem narodowym.

Czytelnikom, nie wtajemniczonym w wyniki badań naukowych nad dziejami judaizmu i znającym te dzieje jedynie w ich legendarnej, uświęconej tradycyą formie, twierdzenie powyższe wydać się może ryzykownym frazesem. Ani zadanie, ani zakres artykułu nie pozwalają nam na szczegółowe uzasadnianie tak kategorycznie sformułowanego twierdzenia, odsyłając więc ciekawych do prac Renana, Lebona, Rawlinsona, Bellange'go i inn., dodamy tylko, że badania tych uczonych wykazują, iż judaizm w swej historycznej postaci nie jest bynajmniej wyższą fazą religii plemiennej drobnego szczepu semickiego Beni Izrael, który nigdy w dziejach nie odgrywał ważniejszej roli, ale jest doktryną sekciarską, która powstała i ukształtowała się w Babilonie, Harranie i innych ogniskach życia umysłowego i politycznego Azyi, a zarazem w wielkich ogniskach ówczesnego handlu światowego.

Ta organizacya sekciarska, religijno-społeczna powstała w końcu V lub w początkach IV wieku przed naszą erą. Legenda o potężnym Izraelu, który miał samodzielny byt państwowy i sławnych królów zjawia się jeszcze później, kiedy judaizm wskutek zbiegu pomyślnych warunków zaczął się szerzyć i umacniać w Palestynie. Tam również z podań i wspomnień miejscowych plemion hittyckich, należących do szczepu semickiego, utworzona została historya Izraela, doskonale do specyalnych zadań i dążeń sekty dorobiona, bo, jak powiada Bellangé, «niema w niej ustępu, niema wiersza, któryby nie służył jasno wytkniętemu celowi».

Tym celem było dla sekty uprawnienie nietylko dokonanego zaboru Palestyny (za czasów perskich), ale i uprawnienie zaborów przyszłych, stworzenie potęgi państwowej. Od Ezdrasza do Machabeuszów jedno istnieje zadanie — przetworzenia sekty w organizacyę narodową i państwową. Koniecznym tego warunkiem było wyodrębnienie się od przeważającej liczbą miejscowej ludności rolniczej za pomocą ścisłego przestrzegania form i czystości doktryny religijnej oraz fanatycznej nienawiści i pogardy dla tych, którzy do sekty nie należeli.

Należy jednak pamiętać, że wówczas i później, chociaż Palestyna stała się głównem ogniskiem sekty, jej ojczyzną, większość wyznawców judaizmu przebywa stale po za «ziemią obiecaną», w Babilonii, w Aramie, w Egipcie, w Azyi Mniejszej. «Diaspora» żydowska istniała na kilka wieków przed zdoby-

ciem Jerozolimy przez Rzymian, istniała od początku powstania sekty. Ale dopiero w Judei sekta sformułowała ostatecznie swe zasady i wykształciła swą organizacyę niezwykle spoistą i trwałą, zahartowała ją w ogniu fanatyzmu. Tam społeczność żydowska poczuła się plemieniem, zajmującem wyjątkowe stanowisko w ludzkości, cieszącem się szczególną łaską Boga, który jest przedewszystkiem Bogiem Izraela. Krwawe klęski i prześladowania nie złamały tej wiary, przeciwnie, po upadku Jerozolimy, powiada Bellangé, «żydzi jedną mają tylko dążność ogólno-ludzkiej natury, a tą dążnością jest zapanowanie nad światem, który uważają za zdobycz, przeznaczoną dla ludu przestrzegającego 613 praw».

Fakt, że Izrael nie był nigdy narodem we właściwem znaczeniu tego wyrazu, lecz od chwili swego wystąpienia na widowni dziejowej był zawsze sektą, rozproszoną terytoryalnie, ma nietylko historyczną doniosłość, ale wyjaśnia nam istotę społeczności żydowskiej. Sekta próbowała wprawdzie wytworzyć narodowość i państwo, w tym celu zbudowała sobie nawet legendarną przeszłość, ale ta próba nie miała trwałego istnienia, chociaż nadała społeczności żydowskiej piętno znamienne, wzmocniła jej wyłączność religijną i solidarność wewnętrzną.

Ta solidarność, która wytworzyła z żydów najbardziej wyodrębnioną i dziś najbardziej spoistą w rodzaju ludzkim grupę, nie opierała się na tych czynnikach przyrodzonych, które łączą w jedną całość gromady ludzkie, a więc na jedności lub pokrewieństwie rasy, języka, osiadłości terytoryalnej i t. d. Dziś żydzi przedstawiają dosyć wyraźny typ rasowy, ale ten typ jest wytworem wiekowym wyłączności sekciarskiej. Już w chwili swego powstania sekta żydowska obejmowała żywioły bardzo rozmaite, chociaż przeważnie semickie z domieszką chaldejską, egipską, grecką, perską i t. d. Prozelityzm, w pierwszych zwłaszcza wiekach bardzo gorliwy, wprowadził do niej mnóstwo pierwiastków nowych, nie wyłączając afrykańskich (murzyńskich i berberskich) i fińsko-tatarskich (Chazarzy). Żydzi chińscy, indyjscy, abisyńscy, kaukascy ani rasowo, ani językowo nie mają prawie nic wspólnego z powszechnie znanym typem żydowskim. Księgi religijne żydowskie, jakkolwiek są owocem zorganizowanej, systematycznej pracy i, pomimo wielu sprzeczności w szczegółach, odznaczają się niezwykłą jednolitością treści, przedstawiają w swych oryginal-

nych tekstach dwoistość językową, niektóre bowiem są pisane w języku aramejskim.

Jakaż więc jest przyczyna tej szczególnej solidarności, która złączyła w jedną społeczność rozproszone grupy członków sekty, należące do różnych szczepów, mówiące różnymi językami, rozsiedlone na ogromnych przestrzeniach (Babilon, Azya Mniejsza, Palestyna, Egipt, kolonie fenickie i greckie)? Ta solidarność ma dwie podstawy: doktrynę sekty i charakter społeczno-gospodarczy ludności, która ją przyjęła. Doktryna monoteistyczna, a więc już w pierwotnej swej koncepcyi wyłączna, stawszy się wiarą szczepów rozbójniczych, jakimi były narodki palestyńskie, których dzieje są jednem pasmem napadów i mordów wzajemnych, wyodrębnia się coraz bardziej i krzepnie w swym fanatyzmie sekciarskim. Nieudana próba stworzenia w Palestynie państwa i narodowości z wyznawców sekty za pomocą opanowania przez nich, koczowników i handlarzy, miejscowej ludności rolniczej, wzmaga ten fanatyzm, bo wciąga społeczność żydowską w krwawe walki i naraża ją na prześladowania. Rozłam w łonie sekty podsyca jeszcze fanatyzm prawowiernych Palestyńczyków, a raczej Judejczyków. Liczne i potężne kolonie sekciarskie, oddane praktykom i spekulacyom czystego kultu w życiu duchowem, zaś w stosunkach społecznych i ekonomicznych związane ze społeczeństwami, wśród których żyją lub do których nawet z pochodzenia swego należą, nie podzielają tego fanatyzmu. W samej Judei, która stała się głównem ogniskiem sekty, powstaje reakcya i na jej tle rozwija się później chrześcijaństwo, azyatyckie zaś i afrykańskie kolonie żydowskie przygotowują grunt pod mahometanizm, lub wytwarzają różnorodne, między innemi i chrześcijańskie sekty.

Ale prawowierny judaizm, chociaż liczebnie uszczuplony, chociaż wyparty po zdobyciu Jerozolimy ze swej siedziby, nie upada. Teraz dopiero wyrabia ostatecznie swe zasady, ustala swe formy, odgradza się od świata pogańskiego i od swych odszczepieńców. Społeczność żydowska staje się ludem wybranym, zajmującym wyjątkowe stanowisko dzięki szczególnej łasce bożej i przeznaczonym do zapanowania nad całym światem.

Prześladowania, jakim społeczność żydowska podlega wskutek swej wrogiej dla wszystkich ludów wyłączności, wzma-

cniają spajający ją fanatyzm i utrwalają jej organizacyę wewnętrzną.

Ta organizacya ma, jak już wspomnieliśmy, nietylko wyznaniowy, ale i społeczno-gospodarczy charakter, który ściśle się łączy z powstaniem sekty i dalszym jej rozwojem.

Jak zaznaczyliśmy sekta powstała w wielkich ogniskach handlu ówczesnego. Żadne z wielkich miast, dziś istniejących, nie wyłączając Londynu i Paryża, nie odgrywa takiej roli, jaką miał niegdyś Babilon, który był nietylko ogniskiem kultury i potęgi politycznej, ale i głównem ogniskiem handlu ówczesnego świata cywilizowanego. Podobna, chociaż już nie tak doniosła rola przypadła później w udziale Aleksandryi.

W Babilonie, Aleksandryi, miastach maloazyatyckich i syryjskich, i wogóle we wszystkich wielkich ogniskach ówczesnego życia, ludność handlująca była, jak dziś w Polsce, semickiego pochodzenia. Fakt ten był w znacznej mierze wynikiem szczególnych warunków topograficznych, których właściwością znamienną w tej części Azyi, jak i w północnej Afryce, jest przeplatanie się terytoryów urodzajnych, mających osiadłą ludność rolniczą z nieurodzajnymi obszarami, po których koczują plemiona, żyjące z pasterstwa i rozboju.

Te plemiona koczujące, beduińskie, należały do szczepu semickiego, podówczas gdy ludność osiadła, rolnicza różniła się zazwyczaj od nich pochodzeniem. Koczownicy napadali na ludność osiadłą i po wymordowaniu i zrabowaniu napadniętych uchodzili napowrót do swych siedzib w pustyni, lub nawet na czas jakiś utrwalali swoją władzę nad «grzebiącymi w ziemi» i zakładali małe państewka. W przerwach między napadami ruchliwi koczownicy zajmowali się handlem (po dziś dzień taki sam tryb życia prowadzą Beduini w Palestynie) i z biegiem czasu wytwarzało się z nich w miastach jądro ludności handlowo-przemysłowej, pośredniczącej w wymianie różnych płodów i zajętej rzemiosłami.

Otóż wśród tej ludności, złożonej z przedstawicieli drobnych plemion semickich, odrębnej zazwyczaj swem pochodzeniem, a zwłaszcza charakterem swoich zajęć, od otoczenia i wskutek tego tworzącej jakby samodzielne kolonie, powstaje sekta żydowska. Odrębność religijna utrwala tylko odrębność społeczną tych kolonii i ich specyalny charakter gospodarczy, właściwy do dziś dnia żydom. To nie warunki historyczne wy-

twarzają ten charakter społeczności żydowskiej i jej wyłączność, ale wchodzi już ona do historyi jako zorganizowana klasa kupców i pośredników, pochodzeniem swojem, rodzajem zajęć, a zwłaszcza wyłącznością wyznaniową wyodrębniona od narodów, wśród których przebywa, i z których wyzyskiwania, uświęconego doktryną o swojem posłannictwie, żyje.

To nam tłumaczy niezrozumiały inaczej fakt, że we wszelkich warunkach historycznych społeczność żydowska zachowywała właściwy sobie charakter gospodarczy i że od czasów rzymskich do dni ostatnich rozbrzmiewają wciąż te same przeciw żydom zarzuty. Antysemici dzisiejsi mówiąc o żydach, jako o «sekcie wrogiej rodzajowi ludzkiemu», dosłownie powtarzają oskarżenia Tacyta, Juvenalisa i Pliniusza.

Przez wieki całe społeczność żydowska pozostaje niezmienną w zasadniczych rysach swej organizacyi religijnej i społeczno-gospodarczej, zupełnie odrębną i zupełnie odmienną od tych ustrojów zbiorowych, wśród których żyje i z których żyje. Jest to jedyna w dziejach świata tego rodzaju symbioza. Wyłączność religijna i społeczno-gospodarcza żydowstwa, zwłaszcza od chwili, gdy wyrzeka się ono prozelityzmu i w sobie samem zamyka, wytwarza surogat odrębności narodowo-plemiennej. Organizacya sekciarsko-ekonomiczna staje się szczególnym narodem — bez własnego języka, bez ojczyzny, bez tradycyi państwowych i wogóle historycznych, których nie mogą zastąpić tendencyjnie dobrane myty i podania.

Kilkakrotnie w ciągu z górą 18 wieków, które nas dzielą od upadku Jerozolimy i usiłowań stworzenia w Palestynie organizacyi państwowej i narodowej, przechodziła społeczność żydowska chwile dla siebie krytyczne, kiedy się zdawało, że rozluźniać się zaczyna obręcz wyłączności, utrzymująca w skupieniu jej części składowe.

Taką chwilę krytyczną przechodził Izrael po krwawych wybuchach rozpaczliwego fanatyzmu sekciarskiego, które żelazną ręką stłumili Rzymianie. Jednocześnie odłączanie się gmin chrześcijańskich od związku z żydowstwem osłabia je liczebnie. Upadek głównego ogniska zelotyzmu sekciarskiego, jakiem była Judea, oddaje przewodnictwo w Izraelu bogatym i ludnym koloniom azyatyckim i afrykańskim, które oddawna ulegały wpływom cywilizacyi greckiej. Następnie w tym wielkim ruchu narodów, który zupełnie zmienił postać ówczesnego świata w osta-

tnich latach państwa rzymskiego i w zaraniu wieków średnich, nie widać niemal zupełnie żydów w powodzi ludów barbarzyńskich, zalewających Europę. Wkrótce potem islamizm burzy ich kolonie azyatyckie i afrykańskie. Z tej powodzi wynurza się znów wprawdzie odrębna organizacya żydowska, ale wyłączność jej słabnie. Zarówno w państwach arabskich, jak w chrześcijańskiej Europie, żydowstwo rozwija się swobodnie, ale może dlatego właśnie rozluźnia się jego spoistość wewnętrzna. Żydzi zajmują wszelkie stanowiska, nie wyłączając wysokich urzędów państwowych, nawet wojskowych, oddają się naukom, nawet małżeństwa mieszane zdarzają się często mimo oporu rabinów. Ten stan rzeczy trwa niemal do XIII wieku, kiedy gaśnie między żydami wszelki ruch umysłowy, a jednocześnie państwa chrześcijańskie zaczynają ich prześladować, ograniczać ich prawa.

Ten antysemityzm średniowieczny historycy liberalni tłumaczą zazwyczaj tak samo szablonowo, jak tłumaczy w *Gazecie polskiej* p. N. antysemityzm współczesny.

Skądś, nie wiadomo z jakiej przyczyny, wybucha nagle niechęć do żydów, która szybko przechodzi w pogardę i nienawiść. I wtedy przecie «żądna oświaty młodzież żydowska» tłumnie garnęła się do szkół, a później na dobre stanowiska, i wtedy «języki krajowe zyskiwały rozległe upowszechnienie», o czem do dziś dnia świadczy używanie przez żydów żargonów niemieckiego i hiszpańskiego. Mówiąc o wiekach średnich, łatwiej można wykręcić się frazesem, że był to okres «wstecznictwa» i fanatyzmu religijnego. Ale i w tym wypadku uprawnionem jest pytanie, skąd się wzieła niechęć do żydów, dlaczego, że zastosuję tu słowa p. N., «znaczne odłamy społeczeństwa poczęły nawet bardzo brutalnie odpychać i odtrącać żydów», daleko brutalniej niż dziś, bo w Niemczech i w Anglii powtarzały się kilkakrotnie rzezie żydów, a z Francyi ich wypędzono.

Gorliwość religijna narodów europejskich nie była chyba większą w XII i XIII wieku, niż w X i w początkach XI, nie zwiększało się chyba również z biegiem czasu barbarzyństwo średniowieczne. Przeciwnie, wiek XII i XIII są właśnie epoką budzenia się w Europie życia umysłowego. Dlaczego więc narody, które tak dobrze godziły się z żydami jeszcze w początkach XI wieku, w 100 lub 200 lat później zaczęły ich

prześladować, i to nie tylko narody chrześcijańskie, bo jednocześnie władcy arabscy w Hiszpanii, z dynastyi Almohadów, ograniczają prawa żydów i wreszcie dają im do wyboru, przyjęcie islamizmu lub opuszczenie kraju.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad tą epoką, bo światło historyi pozwala nam rozejrzeć się lepiej w skomplikowanych i niewyjaśnionych stosunkach dzisiejszych. Ten okres wieków średnich, o którym mówię, ma dużo analogii z epoką współczesną. Ma przedewszystkiem podobne tlo historyczne, bo jest to właśnie okres wytwarzania się i krystalizowania indywidualności narodowych, jak nasze czasy są okresem uświadamiania się tych indywidualności. W XII i XIII wieku z pierwotnej romańszczyzny wyłaniają się dzisiejsze języki romańskie, z anglo-sasko-normańsko-francuskiej mięszaniny powstaje język angielski, pierwociny piśmiennictwa narodów współczesnych w tej właśnie zjawiają się epoce.

Położenie ówczesne żydów podobnem było do ich położenia dzisiejszego. W ówczesnym świecie cywilizowanym, w państwach zachodnio europejskich i muzułmańskich, społeczność żydowska rozporządzała wielką potęgą materyalną. Żydzi zajmowali wysokie i wpływowe stanowiska, między dostojnikami świeckimi a nawet duchownymi mieli tajnych wyznawców swej sekty, byli bankierami monarchów i ich zaufanymi doradcami finansowymi, opanowali handel i tak szeroko rozgałęziony w wiekach średnich handel «żywym towarem», nietylko żeńskim, jak dziś, ale i męzkim.

Ta potęga materyalna rozbudzić musiała dawne marzenia sekty o zapanowaniu nad światem całym, o jej szczególnem posłannictwie i uprzywilejowanem stanowisku w rodzaju ludzkim. Ale zarazem ta potęga osłabiała wyłączność sekty i oto głównem zadaniem jej kierowników staje się rozbudzenie w masach wyznawców judaizmu — fanatyzmu religijnego i wzmocnienie spójni wewnętrznej.

Judaizm występuje zaczepnie wobec narodów, wśród których żyje, a zarazem dąży do zacieśnienia i skonsolidowania swej organizacyi religijnej i gospodarczo-społecznej. To dążenie, spotykając się z dążeniem żywiołowem ludów do wytworzenia swej indywidualności narodowej, wywołuje ostre starcie się dwóch żywiołów. I oto mamy, jak dziś, syonizm i antysemityzm średniowieczny.

Naprzód syonizm, bo wówczas, jak i dziś, syonizm nie jest następstwem antysemityzmu, ale go wyprzedza. Bo przecie, nim właściwy syonizm powstał, mieliśmy już *Alliance israelite universelle*, i powszechną, a zarazem żydowską organizacyę masońską, i plany Montefiorego i Rotszyldów. I dopiero potem zjawił się już jako świadomy prąd społeczny — antysemityzm.

W XI wieku z pierwotnej ojczyzny sekty, Chaldei, wychodzi ruch, dążący do wzmocnienia i zacieśnienia organizacyi żydowstwa. Tam, jak wiadomo, powstał Talmud, który jest księgą mądrości sekty. Ruch klerykalny żydowski ogarnia stopniowo wszystkie kolonie w Azyi, Afryce i Europie i widzimy dziwne zjawisko, które po kilkuset latach powtórzyło się w naszych oczach. Uczeni, bogaci, «zasymilowani», jakby dziś powiedziano żydzi hiszpańscy, włoscy i arabscy poddają się pokornie władzy rabinów i stają się zapamiętałymi fanatykami. Nauka grecka wyklęta, wielki Majmonides, jak w kilkaset lat później Spinoza, uznany za heretyka. Fanatycy żydowscy zwracają się do katolickiego trybunału inkwizycyi z prośbą o spalenie jego dzieł.

Ten wybuch sekciarskiego fanatyzmu wyprzedza nieraz na znaczny przeciąg czasu prześladowanie żydów, które np. w osławionej przez nich Hiszpanii zaczęło się dopiero w końcu XVI wieku.

To samo później powtórzyło się w Polsce, gdzie do końca niemal XVI wieku żydzi korzystali z niezwykłej tolerancyi. I oto Polska właśnie staje się ogniskiem najdzikszego fanatyzmu żydowskiego, ojczyzną, jak powiada Bellangé, «potwornego pasorzyta, obcego ziemi, jej mieszkańcom i ich mowie», pouczającym «przykładem nieprzejednanego charakteru sekty żydowskiej».

Doszła ona dziś w Europie do niesłychanej, stosunkowo znacznie większej potęgi, niż w drugiej połowie wieków średnich. Żydzi opanowali trzy najgłówniejsze czynniki tej potęgi: kapitał, prasę i wpływy polityczne. Jednocześnie wszakże grozi im poważne niebezpieczeństwo nietylko w budzącej się świadomości narodowej ludów europejskich, ale i w oddziaływaniu tych warunków życia współczesnego, które chociaż są warunkami potęgi Izraela, zarazem jednak działają rozkładowo wewnątrz samej organizacyi.

Żydzi, jak trafnie swego czasu w studyum o nich powiedział W. Ziemiński [1]), jeżeli obejmiemy całość dziejów sekty, przechodzą zawsze kolejno trzy fazy stosunku swego do społeczeństw, w których żyją.

W pierwszym okresie sekta w postaci luźnych gromadek szuka przytułku wśród obcych. Gromadki te, złożone z rękodzielników i przekupniów, dzielą życie między spełnianie obrządków swej religii i zabiegi o kawałek chleba, nie biorąc udziału w życiu miejscowego społeczeństwa.

Po pewnym czasie sekta się rozrasta. Członkowie jej to kapitaliści, przedsiębiorcy, posiadacze nieruchomości, częstokroć dygnitarze. Biorą już oni udział w życiu społeczeństwa, które zamiast dawnego lekceważenia okazuje szacunek ich uzdolnieniom i poddaje się w wielu rzeczach ich kierownictwu.

W trzecim okresie sekta, silna potęgą materyalną i organizacyą, ujawnia poczucie swej solidarności i wyższości nad otoczeniem, traktując je lekceważąco i narzucając mu swe przewodnictwo.

Równocześnie w społeczeństwie, w którem żydzi żyją, rośnie niezadowolenie z zależności ekonomicznej od nich i niechęć, która, podsycana coraz bezwzględniejszem ich postępowaniem, przeradza się w otwartą nieprzyjaźń, znajdującą wyraz w ograniczeniach prawnych i wybuchach nienawiści ludowej. Ostatnim momentem było dotychczas zawsze wywłaszczenie i wypędzenie sekty.

Obecnie żydzi w Europie znajdują się mniej więcej w połowie trzeciego okresu. Dążą do zapanowania nad społeczeństwami, w których żyją, do bezwzględnego zaznaczenia swej indywidualności, a jednocześnie nawet wśród nich budzą się obawy, zupełnie uzasadnione dotychczasowem doświadczeniem historycznem.

Syonizm współczesny jest nietylko wyrazem tych dążeń, ale w pewnej mierze i wyrazem tych obaw. Umysły bystrzejsze i krytyczniejsze między żydami dochodzą do przekonania, że w ustroju społeczeństw europejskich niema miejsca dla czysto azyatyckiej koncepcyi sekty-narodu. W Azyi natomiast do dziś dnia takie organizacye istnieją (Druzowie, Nazairy, Wahabici, w pewnej mierze Gwebrowie, «czciciele ognia»).

[1]) Czem jest Izrael? *Głos* (warszawski) r. 1890.

Gdyby dążeniem syonizmu było przeniesienie żydów nie do Palestyny, bo tam $^1/_{10}$ ich nie pomieściłaby się — ale wogóle do azyatyckiej ojczyzny sekty, ruch ten byłby bardzo pożądanym zarówno dla żydów, jak dla społeczeństw, wśród których żyją, zwłaszcza zaś dla naszego.

Ale to są plany fantastyczne. Zresztą, gdyby sekcie żydowskiej dziś, jak ongi za czasów perskich, udało się stworzyć w Palestynie organizacyę narodowo-państwową, ta organizacya wywierałaby niewątpliwie wpływ równie szkodliwy, jak niegdyś prawowierni judejscy na kolonie żydowskie w «diasporze».

Syonizm zresztą, po za planami palestyńskimi, kryje w sobie inne dążenia, te mianowicie, które w braku odpowiedniejszego wyrazu nazywamy nacyonalizmem żydowskim. Jest to dążenie do utrwalenia i wzmocnienia organizacyi sekty żydowskiej, tem różne od podobnych dążeń, kilkakrotnie w łonie Izraela powstających, i tem niebezpieczniejsze, że zarazem zmierza do przystosowania tej organizacyi do warunków życia współczesnego. Taka zaś organizacya z istoty swej musi być wrogą otoczeniu, tem bardziej gdy, jak się wyraża publicysta z *Gazety polskiej*, «modernizuje odwieczny ideal» sekty żydowskiej i pozwala inteligencyi nieprawowiernej «zaznaczać swą solidarność rasową i gospodarczą z ciemnemi masami żydowstwa».

Powiadają niektórzy, że lepiej mieć do czynienia z przeciwnikiem zorganizowanym, bo wtedy można zawsze stosunek swój do niego jakoś uregulować. Ale zapomina się o tem, że u nas zorganizowane żydowstwo starać się będzie przedewszystkiem i stara się już o uregulowanie swego stosunku do naszych wrogów i na naszą szkodę.

Utrwalając istnienie sekty, której właściwości i zasady są dla umysłowości naszej szkodliwe, etyce naszej wstrętne, ideałom naszym społecznym wrogie, syonizm przyśpieszyć może doraźne załatwienie sprawy żydowskiej, ale opóźnia jedyne, korzystne dla cywilizacyi i dla żydów samych jej rozwiązanie. Wszystko to raczej, co rozluźnia organizacyę sekty, co potęguje w niej czynniki rozkładowe, powinno być pożądanem, skoro nie można jej samej ze społeczeństw, wśród których żyje, usunąć.

Ale to już przekracza zakres obecnego artykułu, który pozwalamy sobie zakończyć raczej socyologiczną niż publicy-

styczną uwagą, że proces eliminowania pierwiastku obcego przez organizm społeczny, rozwijający się pod względem gospodarczym i dojrzewający do świadomości narodowej, odbyć się może tem prędzej i tem łatwiej, im ten pierwiastek obcy jest mniej spójnym i zwartym w sobie; tem łatwiej również i tem prędzej pójść może asymilacya tych części składowych pierwiastku obcego, które jakościowo i ilościowo do asymilacyi się nadają. *J. L. Popławski.*

MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA.

VIII.

Stara i oklepana prawda, że bezczynność jest głównem źródłem demoralizacyi, stosuje się nietylko do ludzi pojedynczych, ale i do narodów. W pospolitem znaczeniu mówi ona, iż życie czynne jest najlepszem zabezpieczeniem zdrowia duchowego, głębsze jednak wejrzenie w rzecz każe ją jeszcze uzupełnić: zdrowie duchowe człowieka wymaga zakresu życia czynnego, zużytkowującego jego najgłówniejsze zdolności i dającego ujście jego najwydatniejszym skłonnościom, bo niezużytkowane siły ducha mogą takie same szkody zrządzać w naszym świecie wewnętrznym, jak w zewnętrznym siły fizyczne, nie znajdujące dla siebie należytego ujścia. Potok, mający zawązki przepust pod plantem kolejowym, wzbierając, podmywa samą drogę i staje się częstokroć sprawcą katastrof — tak samo władza ducha, gdy zawązką ma drogę do czynu, nurtuje nawewnątrz, podważa równowagę duchową i doprowadza do katastrof, wielkich częstokroć, choć otoczenie może sobie nie zdawać z nich sprawy. Dlatego to redukowanie przez dłuższy czas intensywności życia nazewnątrz nigdy prawie nie odbija się korzystnie na życiu wewnętrznem jednostki.

Jeżeli to samo prawo obowiązuje w pewnej mierze narody, to wynikałoby z niego, że naród cywilizujący się szybko, pomnażający swe siły duchowe, chcąc w dziedzinie ducha zachować zdrowie, musi w odpowiedniej mierze rozszerzać sferę swego czynu, swych interesów, swej ekspansyi wszelkiego rodzaju, tak, ażeby gromadzące się i komplikujące ciągle zagadnienia pochłaniały odpowiednio narastającą energię narodowego ducha.

Przykłady, potwierdzające, przynajmniej w pewnej mierze, słuszność powyższego, same się oczom naszym nasuwają. Jeżeli np. naród angielski stoi dziś niewątpliwie wyżej pod względem moralnym od francuskiego, jeżeli charakter przeciętnego Anglika współczesnego jest bez porównania tęższy, niż przeciętnego Francuza, jeżeli całe życie duchowe angielskie przedstawia najzdrowszy bodaj typ w Europie, gdy francuskie obok świetnych przejawów wytwarza miazmaty, zakażające świat cały, to najgłówniejszą bodaj przyczyną tego jest fakt, że naród angielski, postępując cywilizacyjnie i rozszerzając zasób swych sił duchowych, jednocześnie szybko rozszerzał sobie pole czynu, dzięki rozpostarciu panowania angielskiego na olbrzymie obszary zamorskie, dzięki niesłychanej ekspansyi brytańskiej rasy i objęciu wszystkich części świata sferą interesów angielskich, podczas gdy energia imponującej zdolnościami swemi rasy francuskiej w coraz ciaśniejszem obraca się kole.

Ekspansya brytańska otwiera dla najwyższych zdolności pole działania w zakresie zadań narodowych i państwowych. Jeżeli pomyślimy, ile najlepszych sił naród ten musiał zużytkować dla podołania zadaniom niezbędnego opanowania dróg morskich i otwarcia rynków swemu handlowi, administracyi Indyi Wschodnich, utrwaleniu rządów w Kanadzie, zdobyciu przewagi nad żywiołem holenderskim w Afryce Południowej, wytworzeniu stosunku metropolii do kolonii australijskich, opanowania Egiptu i uspokojenia Sudanu, ochrony interesów angielskich w Chinach i t. d.; jeżeli weźmiemy pod uwagę, ile jednocześnie pierwszorzędnych zdolności zużytkowało odpowiadające olbrzymim zadaniom zewnętrznym przekształcenie wewnętrznych stosunków politycznych; jeżeli wreszcie zobaczymy, ile dziś najlepszych umysłów Anglii pracuje nad teoretycznem i praktycznem rozwiązaniem zadań organizacyi brytańskiego imperyum — to zrozumiemy, że naród ten nie ma nic ze swych większych zdolności, ze swych lepszych sił do zmarnowania, że nie ma on czasu ani usposobienia do niezdrowych orgii, że ruch i czynność musi pochłaniać wszystko, co, pozostawione w przymusowym spokoju zewnętrznym, poszłoby w kierunku, rozkładającym ducha narodowego i niszczącym podstawy narodowej siły. Śmiesznością byłoby mówić, że w tej Anglii niema ostatniego upadku moralnego, że niema skrajnych objawów duchowego rozkładu, ogarniającego mniej lub więcej liczne sfery, ale sfery

te, że tak powiemy, gniją po kątach, gdzie bierność i zastój panuje, podczas gdy pełne wody narodowego życia utrzymywane są w nieustannym ruchu, zapewniającym im odpowiedni stopień czystości. Można się spierać o to, jak wielką część społeczeństwa ogarnia demoralizacya i rozkład duchowy, ale trzeba się zgodzić, że dominujący ton życia jest moralny i zdrowy.

I Francya ma kolonie; i ona, potraciwszy przed stuleciem dawniejsze cenne posiadłości, pozdobywała w ciągu ostatniego siedemdziesięciolecia nowe obszary, ale ani one nie przedstawiają tej wartości, co angielskie, ani naród francuski nie umiał ich odpowiednio zużytkować. Kolonie francuskie są polem działania dla wyrzutków francuskiej biurokracyi — dla narodu francuskiego właściwie nie istnieją i na życie jego nie wywierają prawie żadnego wpływu. Jednocześnie na kontynencie europejskim dawne olbrzymie wpływy Francyi zmalały, a naród, zobojętniały na zadania polityki zewnętrznej lub nie rozumiejący ich wcale, w wewnętrznem życiu państwowem nie widzi nic po nad rywalizacyę najbrudniejszych interesów z jednej strony, z drugiej zaś przeciwpaństwowe usiłowania Kościoła lub żakowskie wprost przeżuwanie tradycyi wielkiej rewolucyi. Takie warunki otwierają pole czynu jedynie najzwyklejszym geszefciarzom lub mężom stanu tej miary, co Combesy i Palletany, a to, co stanowi wykwit narodowego ducha, odwraca się od sfery czynu ku kontemplacyi, ku szukaniu nowości w biernem używaniu życia, najwięcej ze wszystkiego demoralizującemu duszę społeczeństwa. Kto wie, czy przy dzisiejszym stanie Francyi przyszłość jej nie przedstawiałaby się lepiej, gdyby kraj ten wydawał mniej wyrafinowanych umysłów, a zato więcej ludzi tęgich średniej miary, zdolnych znaleźć odpowiedni interes w dzisiejszem jej publicznem życiu, oprzeć je na pewniejszych podstawach moralnych i rozumowych i budować przyszłość na tem, co dziś w narodzie najlepszego istnieje, nie zaś na zerwanych lub wypaczonych tradycyach wielkiej przeszłości. Przy dzisiejszym wszakże stanie społeczeństwa francuskiego trudniej w niem o takich ludzi, niż o geniusze artystyczne i naukowe.

U narodów upadających częstokroć zjawiają się teorye, nakazujące widzieć przyszłość w tem, co je zabija. Tak, po ostatniej wojnie mówi się w Hiszpanii, że strata reszty kolonii będzie dobrodziejstwem kraju, bo zwróci naród do pracy nawewnątrz, do reform, które sprowadzą odrodzenie narodowe. Zda-

nie to wygląda nawet wcale rozumnie. Ale, niestety, nie dzieje się tak. Ograniczenie sfery panowania narodu, zmniejszenie jego pola czynu powiększa tylko liczbę obywateli obojętnych na sprawy narodowe, odwraca od polityki ludzi szerszego rozmachu i oddaje losy narodu w ręce małych; jednocześnie umysłowość narodu staje się coraz bierniejszą, coraz podatniejszą na procesy rozkładowe. Jeżeliby co mogło taki naród, jak hiszpański, odrodzić, to właśnie rozszerzenie widnokręgów narodowych i, po zredukowaniu terytoryum i znaczenia państwa, wyjście po za jego granice, nawiązanie ścisłych węzłów z dawnemi koloniami, z hiszpańską Ameryką, zrobienie sobie drugiej, szerszej ojczyzny z całego, przez Hiszpanię ongi ufundowanego i po hiszpańsku mówiącego świata.

Umyślnie wspomniałem o Hiszpanii, bo jest tu pewna analogia z naszem położeniem i z naszemi o zadaniach narodu pojęciami. Zasada ograniczania pola narodowej działalności w przekonaniu, że to naród wzmocni nawewnątrz, nigdzie tak nie jest popularną, jak w naszem właśnie społeczeństwie. Zwłaszcza zapanowała ona niepodzielnie po ostatniem powstaniu, kiedy klęska zmusiła nas do wyrzeczenia się na czas dłuższy myśli o zbrojnej walce o niepodległość.

Gdy w tej dzielnicy, która powstała i która bezpośrednią klęskę poniosła, całość zadań narodowych sprowadzono do pielęgnowania języka i obyczaju narodowego w rodzinie, jednocześnie starano się ograniczyć terytoryum, na którem te mniej niż skromne zadania miały obowiązywać. Zjawił się ideał Polski etnograficznej, uzasadniany przez wielu w ten sposób, że, gdy się «skoncentrujemy» na mniejszym obszarze, będziemy odporniejsi wobec nacisku wrogów. Ci, co tak argumentowali, nie rozumieli, że «skoncentrowanie» w tym wypadku jest wyrazem bez żadnego sensu, bo przecie siły narodowe nie są wojskiem, które można rozpraszać i ściągać. Gdy opuszczamy terytoryum, na którem jesteśmy w mniejszości, to znaczy tylko, że kapitulujemy tam, że decydujemy się na wynarodowienie tej mniejszości, że rezygnujemy na przyszłość z wszelkich korzyści stamtąd, między innemi także i z udziału w pracy duchowej narodu ludzi, przez kresy wydanych. Jedynym rezultatem tej «koncentracyi» może być tylko silniejszy nacisk wroga na rdzenną Polskę, gdy kresy przestaną go zaprzątać swym oporem.

Gdy w następstwie konieczność zmusiła nas do rozszerze-

nia narodowych zadań, gdy zrozumiano, że pielęgnowanie języka i kultury narodowej nie wystarcza, że trzeba ich bronić przed zamachami wrogów, gdy powoli przyjmowała się zasada obrony biernej, oporu wobec czynników wynaradawiających, gdy w dalszej konsekwencyi, zwłaszcza pod wpływem otwartego programu eksterminacyi, postawionego przez rząd i wrogie społeczeństwo w zaborze pruskim, zaczęto rozumieć potrzebę systematycznej i zorganizowanej walki narodowej, zadanie to przeraziło nas swoim ogromem i w dość szerokiej sferze przyjęto chętnie ograniczające je hasło «walki na jednym froncie» — wyraz równie pozbawiony w tym wypadku sensu, jak «koncentrowanie się» na gruncie etnograficznej Polski. Słusznie zauważono, że spór o to, czy walczyć na jednym, czy na dwóch frontach, jest możliwy tylko wtedy, gdy można siły z jednego frontu na drugi przenosić. Tu walka na jednym froncie oznacza pozostawienie sił na drugim w stanie biernym, skazanie ich na gnicie, zamiast żeby przeszkadzały nieprzyjacielowi dobytek narodowy niszczyć.

Nie chcę przez to powiedzieć, żeby walka z wynaradawianiem otwierała nam, jako narodowi, odpowiednie pole czynu. Jest ona tylko niezbędnym aktem samozachowania szczepowego i nie potrzeba nawet być narodem w całem tego słowa znaczeniu, żeby ją uznać za konieczną i z powodzeniem prowadzić. Nawet drobne ludy, nie mające warstw wyżej oświeconych, zasługujące co najwyżej na miano plemion, walkę taką rozumieją i prowadzą. Tylko o chorobliwym stanie organizmu narodowego świadczy, że u nas musimy potrzebę tego elementarnego aktu samozachowania uzasadniać. Mnie idzie o wskazanie, że zabójczem jest dla narodu ograniczenie jego zadań do walki z eksterminacyą. Takie zacieśnienie pola narodowego czynu, takie sprowadzenie zadań narodowych do spraw prostych, elementarnych, nie przedstawiających zadań dostatecznie szerokich i skomplikowanych, a stąd nie dających właściwej pracy umysłom szerszym i odpowiedniego ujścia szerszym energiom, pociąga za sobą ten skutek, że to, co jest w narodzie najzdolniejszego, pozostaje niezużytkowanem w sferze narodowego czynu. Działalność, mająca na celu narodowe samozachowanie: nauczanie, zakładanie czytelni, szerzenie książek i pism i t. d. — wszystko to są prace ogromnej wagi, ale naród na tym stopniu cywilizacyi i rozwoju duchowego, co nasz, wytwarza w każdem pokoleniu olbrzymi zastęp ludzi, których umysły i energie nie mogą w tych pra-

cach znaleźć zadowolenia, którym potrzebne jest szersze pole i które mogą dać się zaprzątnąć tylko bardziej o wiele skomplikowanym zadaniom. Nie znajdując tego pola, ludzie ci nie przywiązują się należycie do spraw narodowych, idą bądź na obcą służbę, by zdobywać częstokroć dla wrogów to, czemby mogli zbogacać własną ojczyznę, bądź też energia ich ducha zwraca się w kierunku indywidualistycznym, wytwarzając w mniejszej lub większej mierze pierwiastki społecznie rozkładowe, bądź wreszcie gnije z dnia na dzień, gdy jednostka, jak jej naród, obniża swe aspiracye, stopę swego życia w lepszem tego słowa znaczeniu, zamyka się w ciasnej, ślimaczej egzystencyi.

Jeżeli naród, żyjący w warunkach normalnych, mający własne państwo i odpowiedni zakres interesów państwowo-narodowych, musi dbać o to, żeby się ten zakres w miarę rozwoju sił narodowych nieustannie rozszerzał, jeżeli mu to jest potrzebne dla utrzymania odpowiedniego poziomu zdrowia duchowego, to dla nas, dla narodu głęboko chorego z braku powietrza, z braku przestrzeni dla najsłabszych poruszeń, otwarcie sobie tej przestrzeni, wpuszczenie do naszej klatki szerszego powiewu jest poprostu kwestyą życia. Długotrwała wegetacya bez ruchu w tej dusznej atmosferze popowstaniowej zaczęła wreszcie rodzić programy samobójcze, które chcą rzucić na kartę całą naszą narodową przyszłość. Po roku 1863-im, po ciężkiej klęsce i zawodzie, w atmosferze beznadziejności, znalazły się jednostki, którym zaciężkim się wydał los Polaka i które dobrowolnie starały się skórę zmienić, poddając siebie wraz z rodzinami umyślnemu samowynarodowieniu. Dziś mamy w części społeczeństwa dążność do uczynienia tego z całym narodem. Program, dążący do rzucenia całej Polski w objęcia Rosyi, wciągnięcia całego naszego kraju w sferę rosyjskich interesów państwowych i uczynienia naszego narodu pod względem politycznym częścią narodu rosyjskiego nie jest u wielu niczem innem, jak marzeniem o wydarciu się w obcej skórze, gdy nie można w swojej, do szerszych widnokręgów, o otwarciu sobie pola szerszego działania na korzyść obcego narodu z pozorami, że się działa dla wspólnej sprawy.

W planach takich i w takich marzeniach natura narodu mści się na pogwałconych swych prawach: zapomnieliśmy, że naród, mający wszelkie władze, wszelkie zdolności, potrzebne

do szerokiego, samoistnego życia państwowego, nie może żyć «pielęgnowaniem» języka i kultury narodowej, i dziś płacimy za to w ten sposób, że mamy we własnem społeczeństwie kierunek, który, choć się sam przed sobą do tego nie przyznaje, grozi w ostatniej konsekwencyi temu językowi i narodowej kulturze.

Rozszerzenie sfery narodowej działalności zaczyna tedy istotnie być dla nas kwestyą nietylko zdrowia duchowego, ale wprost życia. Rozszerzenie to może i musi się odbywać w różnych kierunkach.

Pierwszym i najważniejszym kierunkiem, który może dopiero dać podstawę do szerszej narodowej ekspansyi, musi być wypłynięcie z ciasnej egzystencyi dzielnicowej na szersze wody życia ogólno-narodowego. Nie mając nierozdzielnej polskiej Rzeczypospolitej, możemy i musimy być nierozdzielnym narodem polskim, mającym swoje ogólno-narodowe interesy, swą narodową politykę z ogromem bieżących, żywych zagadnień, z polem do czynu, wykraczającego daleko po za szablon, który tworzy polityka państwowa. Zamknięcie się w granicach interesów dzielnicowych sprawiło, że nawet w Galicyi, gdzie mamy ręce do akcyi politycznej względnie rozwiązane, zadania polityczne zeszły do poziomu marnych zabiegów o drobiazgi, bez planu, bez wyraźnego celu, bez żadnej szerszej myśli. Za tem musiało pójść obniżenie poziomu życia publicznego, zanik myśli obywatelskiej w polityce, coraz większe rozbicie usiłowań, a z drugiej strony odwracanie się od polityki ludzi większej wartości moralnej.

Brak samoistnego bytu politycznego i polityka rządów zaborczych utrudniły niezmiernie nasze położenie na kresach, w krajach z niepolskim rdzeniem ludności, należących ongi do Rzeczypospolitej, w krajach, stanowiących historyczne pole naszej narodowej ekspansyi, w których kultura polska wielkie w ciągu paru wieków poczyniła zdobycze. Jednocześnie, demokratyzacya kultury otwarła nam nowe pole na kresach zachodnich, w prowincyach etnograficznie polskich, od wieków utraconych politycznie i wydanych na łup posuwającej się zwycięzko na wschód kulturze niemieckiej. Te zachodnie kresy są jedynem właściwie nowozdobytem polem do działalności narodowej w ostatnich czasach. Cieszymy się tą zdobyczą, ale jakże mało w tem zasługi oświeconego, myślącego polskiego ogółu,

z drugiej zaś strony, jakże ona skromna w porównaniu z tem, co na wschodzie, skutkiem fatalnych warunków i naszego zaniedbania, możemy utracić. Wypuściwszy z pod wpływu kultury polskiej i utraciwszy tem samem wschodnie litewsko-ruskie obszary, stracilibyśmy większą część dawnego naszego terytoryum i, przy dzisiejszem zaludnieniu, kilka milionów niewątpliwych Polaków, żyjących tą samą, co my, kulturą i pracujących dla niej. Ażeby uprzytomnić sobie wielkość tej straty, wystarczy wyliczyć szereg znakomitych Polaków, jakich te ziemie dały w ciągu ostatniego stulecia. Dlatego, tylko chorobliwym stanem narodowej duszy można wytłumaczyć sobie tak wielką liczbę ludzi, coby się z lekkiem sercem wyrzekli tego dziedzictwa, nawet nie mogąc wiedzieć w dzisiejszych warunkach, na czyją rzecz abdykacyę podpisują. Dla usprawiedliwienia tej małoduszności i obniżenia aspiracyi podaje się bezmyślne, jak już wskazałem, argumenty o potrzebie «skoncentrowania się», lub z równą logiką wskazuje się potrzebę walki o kresy zachodnie, tak jakby naród w walce kulturalnej i politycznej mógł przerzucać swe siły ze wschodu na zachód.

W ostatnich czasach rozrost naszego wychodztwa i wykazane niewątpliwie zdolności kolonizacyjne naszego chłopa wskazały nam nowe pole kulturalnej ekspansyi, otwarły nam dalekie widnokręgi zaoceanowe dla należycie pojmowanych zadań narodowych. W położeniu narodu, któremu tak ciasno u siebie, który tak słabo może się poruszać, naciskany z dwóch stron przez nieprzejednanych wrogów, to nowe pole działania, mogące dać ujście najbujniejszym charakterom, najszerszym naturom, skazanym w obecnych warunkach życia w kraju na konieczny rozkład i najsmutniejsze zboczenia, nowe to pole byłoby dobrodziejstwem dla narodu, któryby jego znaczenie zdolny był zrozumieć. Gdyby nawet stworzenie społeczeństwa nowopolskiego gdzieś nad brzegiem południowego Atlantyku, w puszczach brazylijskich, okazało się w następstwie nieziszczalną mrzonką, to samo zajęcie się podobną sprawą dałoby nam nowe a szerokie pole ćwiczeń dla części gnijących sił naszych i tym sposobem znakomicieby się przyczyniło do odrodzenia naszego zgnuśniałego ducha. A jakże nieobliczalne w ogromie swoim następstwa dla ekspansyi życia polskiego pociągnąłby skutek pomyślny, mianowicie — powstanie na dalekim lądzie nowej społeczności, mówiącej po polsku, czerpiącej swe siły duchowe

ze wspólnego skarbu cywilizacyi narodowej i zasilające ją świeżymi, w treści swej bardzo nowymi pierwiastkami! Jednakże nieliczne wyjątki tylko nie powtarzają, że to nie dla nas zadanie, że my mamy dosyć roboty u siebie.

Naród nie wtedy na brak sił cierpi, gdy szybko rozszerza pole swej działalności, ale, gdy, dzięki zacieśnieniu tego pola, zanika w nim atmosfera czynu. Dzięki hasłu wycofywania się zewsząd, jakoby dla skuteczniejszej na mniejszym terenie obrony, zostaliśmy narodem, którego największem dziełem współczesnem jest szybkie mnożenie się, «narodem królików», jak się jeden z naszych wrogów wyraził; ale nawet na ograniczonym terenie działania, który nam po wielu porażkach i dobrowolnych abdykacyach został, brak sił do czynu mocno odczuwamy. Łudzimy się, że, cofając się dalej i dalej ograniczając pole swego działania, brakowi temu zaradzimy, nie wiedząc, że tem tylko więcej jeszcze swych sił przeprowadzimy ze stanu czynnego w bierny, zatrzymamy je w ruchu i skażemy na gnicie. Wszystko, co zdolniejszego, co szerszego w społeczeństwie, zarówno umysłem, jak temperamentem, odwróci się od spraw narodowych, one zaś w swym zacieśnionym widnokręgu dawać będą jedynie ujście aspiracyom obdarzonych dobrą wolą guwernantek.

Droga do pomnożenia czynnych sił narodu nie tędy prowadzi. Rozszerzmy widnokręgi narodowej myśli, przetnijmy dla niej szerokie drogi po przez kordony, sięgajmy nią wszędzie, gdzie polskość żyje i żyć pragnie, budźmy ją, gdzie trzeba, ze stanu uśpienia, idźmy gotowi do walki w jej obronie na najdalsze kresy, budujmy nową Polskę za morzami, twórzmy z tego wszystkiego jedną, wielką, nowoczesną ideę narodową — a siły nasze zaczną rosnąć, jak nigdy przedtem. Bo wtedy przeciętne zdolności nie będą spały, społeczeństwo nie będzie myślało nad wynalezieniem nowych sposobów zabijania czasu obok już ustalonych, jak czcze gadulstwo, karciarstwo i t. p., wyższe zaś zdolności nie będą się odwracały od tego, co stanowi najważniejszą treść narodowego życia i podstawę naszej przyszłości. Niech przyjdzie chwila, że służba sprawie narodowej będzie pochłaniała wszystkie siły i wszystkie zdolności, jakie społeczeństwo wydaje: wtedy przekonamy się, że w takich chwilach nowe siły w trójnasób narastają. *R. Skrzycki.*

WARSZAWA.

II.

W ostatnich czasach zamieściłem w lwowskiem *Słowie polskiem* szereg listów, w których starałem się dać duchową charakterystykę Warszawy. Właśnie ledwom wysłał ostatni list, mający zamknąć tę charakterystykę przedstawieniem stanu umysłów w Warszawie, gdy doszedł rąk moich październikowy zeszyt *Przeglądu wszechpolskiego* z artykułem pana St. Wolomirskiego. W otwartej przez redakcyę dyskusyi na ten temat udział mój będzie tem bardziej usprawiedliwiony, że polemiczne aluzye p. Wolomirskiego łatwo mi było wziąć do siebie, w swoich bowiem obrazkach rzuciłem na Warszawę, pomimo miłości, jaką dla niej żywię, niejeden cień ponury.

Autor wziął Warszawę w obronę, ale w taki sposób, że radbym jej bronić od niego samego. Przedewszystkiem, zdaniem mojem, wyszedł z niewłaściwego założenia, upatrując źródło krytycyzmu względem Warszawy w dzielnicowym antagonizmie, opartym na przesądach i wzajemnych pretensyach, a podsycanym przez wrodzoną narodowi «kłótliwość, swarliwość i powszechne gadulstwo». «Od niedawna — pisze on — od lat kilku dopiero, w Galicyi szczególnie, zaczyna się lekceważyć Warszawę, jakby w odwecie nieusprawiedliwionym za wiekowe upośledzenie, w którem sama Galicya pozostawała po upadku Polski»... Autor powołuje się na zauważone gdzieś «szykany, docinki i aluzye pod adresem Warszawy» i w nich widzi ten odwet Galicyi i owo lekceważenie Warszawy.

Jest to odkrycie zupełnie niespodziane i zupełnie błędne. Nietylko w Polsce, ale na całym świecie istnieje pewien antagonizm między prowincyami jednego kraju, miastami, ba — nawet wioskami. Posłuchajcie piosnek na polu, jak robotnicy z jednej wsi dokuczają mieszkańcom wsi sąsiedniej. Słuchając tych docinków, szykan i aluzyi, wyobrazić sobie można, że w każdej z tych wiosek mieszkają sami idyoci, niedojdy, rozpustnicy, albo że każda z nich dyszy istotnie zawiścią i żądzą odwetu. Ale nikt nie zajdzie tak daleko w uogólnianiu wniosków, snutych z krakowiaków. Istnieje powszechnie jakaś potrzeba psychiczna porównywania się z innymi na swoją korzyść, podwyższania się w swoich oczach bodaj przez poniżenie in-

nych, nawet bez pobudek takich, jak zawiść lub chęć odwetu. Jest to potrzeba tak niezasadnicza dla sprawy życia i w gruncie tak bezinteresowna, że zaspakaja się ją najczęściej w sposób żartobliwy i niekrwawy, nawet z pomijaniem miejsc najbardziej bolących przeciwnika, powiedziałbym — potrzeba satyry, bardziej estetyczna, niż praktyczna.

Nie można więc docinków i aluzyi, posłyszanych w Krakowie, poczytywać za dowód lekceważenia Warszawy przez Kraków; inaczej, trzeba byłoby znowu brać na seryo wszystko to, co w Warszawie mówi się, z potrzeby emulacyi, o Krakowie. Zwłaszcza gość, bawiący czasowo w drugiej dzielnicy, ma szansę wysłuchania wielu nietrafnych sądów o swojej prowincyi lub mieście. Ale te sądy wygłaszane są na jego cześć, z racyi jego pobytu, jest ich wiele, dlatego łatwo znaleźć w nich kolec i dowcip. Martwić one mogą czem innem, nie złośliwością swoją, mianowicie tem, że oparte są zbyt często na nieznajomości życia zakordonowego. Od lekceważenia gorszy jest w tym wypadku brak wzajemnego zainteresowania i węzłów duchowych między dzielnicami, nieznajomość stosunków; gorsze jest to, że się o tych stosunkach zakordonowych zamało mówi.

Wogóle jednak, kto zna nasze stosunki międzydzielnicowe, nie przyzna racyi p. Wolomirskiemu. Galicya mniej lekceważy Warszawę, niż ta Galicyę, jeżeli chodzi o sądy wygłaszane potocznie, a nawet w prasie; jakże pogardliwie mówi się nieraz w Warszawie o nędzy w Galicyi, o słabości jej rządu autonomicznego i gospodarce, a Galicyan w tym razie nie stać na pogardliwe potraktowanie tych wystąpień, będących niewątpliwie objawem przystosowania się pewnych sfer warszawskich do ideałów społeczno-politycznych rosyjskich. Mieszkańców Galicyi nie stać — powiadam — na godną odpowiedź w takim wypadku, i tu mamy dowód, jak daleką jest ona do szykanowania Warszawy.

Tutaj leży rdzeń kwestyi i niebezpieczeństwo. Niechaj sobie Litwa lub Galicya pokpiwa z warszawskich ludzi, z ich obyczajów i wad — to są wszystko krakowiaki docinkowe; ale gdy chodzi o emulacyę miast czy prowincyi w przywództwie narodowem, gdy mowa o wyższości typu życia narodowego w Warszawie, gdy mowa o całości istnienia politycznego w zaborze rosyjskim, to należałoby zalecać każdemu Polakowi krytycyzm, aby w entuzyazmie swoim dla Warszawy lub w pobłażliwości

swojej nie szedł wbrew przykazaniom polskiego ideału politycznego. Komu o czystość tego ideału chodzi, ten z niepokojem słucha w Galicyi zachwytów nad Warszawą, zwłaszcza gdy wie, z jakich źródeł one płyną. Galicya zazdrości Warszawie dostatków, w jakich opływają domy prywatne, zazdrości piany, jaką wydaje z siebie szumne życie prywatne, krasząc nią pustynię jałowości życia publicznego; stąd niekrytyczne wnioski o szczęśliwości Warszawy i tęsknota do niej, a to uczucie pożądliwości zagłusza w umysłach kryterya polityczne do tego stopnia, że nie zwraca się uwagi na stopniowy upadek Warszawy, jako ogniska narodowego.

Niebezpieczeństwo grozi skądinąd: nie od tych, którzy sceptycznie o Warszawie mówią, ale od tych w Galicyi i Poznańskiem, którzy o niej prawią bez zastanowienia legendy, podają ją za eden życia polskiego w porównaniu z miastami stołecznemi w innych zaborach. Niestety, zadobrze o Warszawie się mówi i nazbyt bez zastrzeżeń, a wpłynęła na to, prócz tradycyi po tej ostatniej wspólnej stolicy w większej mierze późniejsza nieznajomość jej dziejów. Polacy za kordonem źle byli o Warszawie informowani; dochodziły do nich odgłosy skandalów politycznych, dokonywanych przez rząd moskiewski, coraz opaczniej przez trójlojalistów komentowane, i episyerskie opinie o zamożności mieszkańców. Galicya i Poznańskie traciły poprostu prawo wydawania jakichkowiek sądów o Warszawie, bo jej nie znały, a tem więcej prawo sądzenia o jej rozwoju wewnętrznym, z którego ona sama nie zdawała sobie sprawy. A jednak Warszawa uroku nie traciła, owszem zyskiwała na uroku w miarę upadku wspólnych, obowiązujących całą Polskę ideałów politycznych, a wzrastaniu oportunizmu mieszczańskiego.

Jeżeli tak jest, to jakim sposobem p. Wolomirski zauważyć zdołał objawy przeciwne, objawy «lekceważenia» Warszawy, zwłaszcza w Galicyi? Skąd wziął nawet dość ścisłą datę tej przemiany, utrzymując, że daje się ona zauważyć «od niedawna, od lat kilku dopiero»? Cóż zaszło w tym czasie w naszych stosunkach tak zasadniczego, coby mogło tę zmianę frontu względem Warszawy spowodować? Wydaje mi się, że jest to data wzmożenia się w społeczeństwie polskiem idei jedności organicznej narodu we wszystkich zaborach, data, kiedy pokolenie, przychodzące dziś do głosu, dało wyraz odczuwanej tajemnie we wszystkich zaborach potrzebie zogniskowania myśli polity-

cznej polskiej, data, kiedy rozejrzano się po ziemiach polskich i wymierzono zasobność sił narodowych i możność ich rozwoju we wszystkich dotychczasowych ogniskach życia polskiego, kiedy zrozumiano, że dla wytworzenia nowego typu polskiego umysłu politycznego nie wystarcza siła liczebna i materyalna takiego zbiornika, jak Warszawa, że warunki, w których ona istnieje, odbierają jej wszelką możność sprostania zadaniom nowożytnego ogniska umysłowości, że wreszcie nie może się ona mierzyć pod względem intensywności polskiego życia politycznego z miastami mniejszemi, ale wolniejszemi, jak Kraków i Lwów. Jednem słowem, od pewnego czasu, mianowicie od czasu wzmożenia się haseł czynnej polityki wszechpolskiej, zmalało znaczenie nieczynnej politycznie Warszawy. Nie można tego nazwać lekceważeniem, jest to tylko stwierdzenie obecnej roli dziejowej nieszczęsnego miasta, sparaliżowanego w swym rozwoju przez ucisk polityczny ze strony Rosyi. Czyżby p. Wolomirski brał za objaw «antagonizmu, złości i nienawiści dzielnicowej» to, co jest właśnie owocem dążeń koncentracyjnych naszej doby, to, co jest wynikiem dokonywanych w tymże celu obliczeń naszych sił narodowych i politycznych? Czyż takie trzeźwe zajrzenie w oczy rzeczywistości nie jest dla dalszej pracy narodowej lepsze od upajania się urokiem samego imienia, gdy chodzi o treść?...

Przypuszczam, że p. Wolomirski, mówiąc ogólnikowo o lekceważeniu Warszawy, miał na myśli takie taksowanie jej, jako ogniska życia narodowego dla wszystkich trzech zaborów; nie myślę bowiem, aby jej chciał bronić od pocisków satyry obyczajowej, zjawiska powszechnego, z którem się liczyć nie potrzeba, a nie widzę innego prądu, którymby się jaka niechęć ku Warszawie tłumaczyć mogła psychologicznie. Owszem istnieje wszędzie otwarty nieograniczony kredyt zaufania dla niej, który trzeba czasami w interesie narodowym ograniczać, aby na jej barki nie wkładać odpowiedzialności nad siły; w tym tylko interesie wskazuje się na jej braki i kalectwa, zrządzone przez ucisk polityczny, a nie pozwalające jej trzymać w dłoni steru wszystkich spraw narodowych. Gdybyśmy się pod tym względem łudzili, gdybyśmy, przeceniając siły Warszawy, zrzucali na nią wszystkie obowiązki pracy i ofiarności i czekali od niej podniet, to wyrządzilibyśmy wielką krzywdę sprawie narodowej. Warszawa jest bardzo biedna, ona czeka ratunku od prowincyi

zakordonowych; jest chora — nie można zbytnio jej sił przeceniać. W celu udowodnienia, że lekceważenie Warszawy nie ma podstaw, autor przytoczył pokrótce dzieje wydarzeń politycznych w Warszawie w XIX stuleciu, świadczące o niepożytej żywotności społeczeństwa polskiego i Warszawy, jako głównej wyrazicielki jego ducha w zaborze rosyjskim. Nie wyprowadził jednak z faktów za ten czas należytych wniosków, między innymi tego smutnego wniosku, że w Warszawie coraz niebezpieczniej jest poruszać umysły do wypowiadania się w kierunku politycznym, i to nie ze względu na cenzurę, lecz ze względu na godność narodową. Czasami chciałoby się dziękować cenzurze, gdy przerywa dyskusyę polityczną, tak nieprzewidzianą zgoła jest rzeczą, do czego się dogadamy przy swoim braku rutyny politycznej. Jakże wybitnym umysłym był Świętochowski, autor «Wskazań politycznych», a do czegóż w dobie pozytywizmu się dogadał? Prus jest typowym wyobrazicielem umysłowości warszawskiej — uczuciowiec przeczulony, bolejący z narodem, kochanek Warszawy; rzec można, iż Warszawa, nazywana dla swojej uczuciowości sercem narodu, ma w Prusie swoje. A jednak jest to człowiek bez głowy, jeżeli chodzi o myśl polityczną, krzywdzi nasze piśmiennictwo, ilekroć pisze o polityce.

Prus jest ofiarny, gotów do poświęcenia swojej popularności dla dobra kraju, więc zajmuje się z bohaterstwa swoją niebohaterską polityką. Ale mam pewne dane do twierdzenia, że gdybyśmy kazali wypowiedzieć się w tej dziedzinie komukolwiek innemu z utalentowanych i słynnych pisarzy, mieszkających w Warszawie, każdy okazałby się również nieświadomym naszych interesów narodowych i w tak dowolny sposób by wieszczył, że wolelibyśmy, aby wcale nie pisał. Z pośród pisarzy jeden Sienkiewicz, najprzytomniejszy z nich wszystkich i najobjektywniejszy, przez ciągłe badanie usposobień społeczeństwa i jego smaku, doszedł do odczuwania zachowawczych instynktów narodu i trafnie w wielu razach je wyraża (w listach swoich). Osiągnął to, zdaje się, dzięki podróżom swoim, dającym mu możność poznania wszystkich dzielnic i całości kraju

To, co mówią o poetach, dotyczy także warszawskich polityków narodowych w dziennikarstwie i większości wybitnej inteligencyi niepiszącej. Cóż mówić o tych sferach, których nie obowiązuje myślenie i czucie za miliony! Rok 1897, w którym politykująca Warszawa tak przyjaźnie powitała Mikołaja II,

jest dowodem, do jakiego stopnia myśl polityczna uległa tutaj dezorganizacyi. To nie był błąd, jak mówi p. Wolomirski, lecz symptom rozstroju. Doświadczenie to uczy, że inteligencyę warszawską popchnąć może do niepolitycznego czynu byle jaki generał-gubernator.

Na pomnik Mickiewicza, który ma być jasnem przeciwstawieniem tamtego faktu, rozmaicie można patrzeć. Według jednych Warszawa w chwili stawiania pomnika «poczuła się znów stolicą Polski, odzyskała na chwilę moralny rząd nad krajem i narodem». Inni zaś, z większą bodaj słusznością, utrzymują, że nie był to akt zdrowego zmysłu politycznego — raczej pofolgowanie sercu, niż zamysł ogniska, sprawującego rząd moralny nad krajem i narodem. Ogół społeczeństwa tą niespodzianą darowizną rządu można było snadnie w błąd wprowadzić co do natury naszego stosunku do rządu i zdemoralizować.

Coraz mniej rząd moskiewski daje sposobności Warszawie do robienia błędów, odsuwając ją coraz dalej od życia publicznego; wiele stron dodatnich pozostaje w takich warunkach w ukryciu — to prawda, ale też wiele stron ujemnych daje się przytem zataić. Kto jednak stosunki warszawskie zna zblizka, ma bardzo wiele danych do obaw na przyszłość i musi oświadczyć się za tem, aby punkt ciężkości «rządów moralnych nad narodem» przenieść z Warszawy do innych miast polskich. Zobaczymy np. w najbliższej przyszłości, jak postąpi ona (piszę w początku listopada) w sprawie projektowanej wystawy wszechsłowiańskiej w Petersburgu, co do której zastrzegła sobie (w pewnem kółku) prawo dyrektywy dla wszystkich ziem polskich.

Należy bowiem jasno zdawać sobie sprawę z tego, że w warunkach politycznych, uniemożliwiających jawną dyskusyę o sprawach narodowych, legalne czyny polityczne muszą być nielojalnymi względem narodu, a co gorsza, są dla niego w stosunkach polsko-rosyjskich zawsze szkodliwe. Wynik dodatni akcyi lojalnej dla społeczeństwa polskiego mógłby się zdarzyć chyba w wypadku jakiegoś dyplomatycznego przelicytowania się Warszawy z rządem rosyjskim na spryt polityczny. Temu lub owemu kółku dyplomatów warszawskich w naiwnej chytrości wydawać się to może prawdopodobnem, ale my, znając niemoc ich myśli politycznej, temu nie uwierzymy.

Rząd przeciwny w zasadzie jakiejkolwiek robocie politycznej Polaków, pozwoli im, gdy mu potrzeba, na pewien ruch

w tym kierunku, zaproponuje np. rewię słowiańską w Petersburgu. Dosyć w takim wypadku, aby jeden człowiek powstał i rzekł publicznie: Polacy wezmą udział — a sprawa udziału będzie ubita. Nie wolno bowiem nikomu ostrzedz wtedy społeczeństwa, zaprzeczyć politykowi. Zapanuje grobowe milczenie między przeciwnikami tej idei, podskoczą zaś ku niej zwolennicy, nadadzą jej rozgłos ku obałamuceniu opinii publicznej, a gdyby opinia nawet odwróciła się od nich, rząd da im pomoc materyalną, i w rezultacie — społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim «jednomyślnie» weźmie udział we wszechsłowiańskim hołdzie dla tronu moskiewskiego i Rosyi.

W taki tylko sposób robić można w Warszawie politykę legalną. Ogół narodowy tej legalnej Warszawie nie może dawać mandatów politycznych, bo tutaj legalna robota polityczna tylko z nazwy jest polską, będąc w gruncie rzeczy rządową. Warszawa w dzisiejszych warunkach może być polem jedynie nielegalnej, tajnej polityki polskiej. Jedynie tajna organizacya narodowa odpowiada wymaganiom życia w zaborze rosyjskim i wogóle zasadom polityki nowoczesnej, która bez poruszania do głębi świadomości szerokich warstw społecznych nie może nic dla narodu godziwego i trwałego dokonać. Politycy warszawscy, gotowi do robót narodowych wespół z policmajstrem, generał-gubernatorem lub wiceministrem Kowalewskim, na wspomnienie polityki tajnej wpadają ze zgrozy w atak lojalności wobec rządu i niewątpliwie poczytują tajną organizacyę narodową za większego wroga społeczeństwa polskiego od rosyjskiej organizacyi państwowej. To jeden dowód więcej, że nie stoją oni na wysokości pojmowania warunków chwili obecnej.

Nie widzą oni tego, że wszelka ich akcya jest możliwa tylko ze współudziałem rządu w kierunku jego interesów politycznych, sprzecznych zasadniczo z polskimi, a z drugiej strony nie chcą pojąć, że działalność organizacyi tajnej, opartej na podstawach demokratycznych, ma mniej pierwiastku samozwańczego, niż ich własna, pomimo że publicznie jawna. Organizacya tajna nie ostoi się bez oparcia na głębokich podstawach w sercu i umysłowości mas i, jeżeli przyjdzie do rządu, to jest wszelka rękojmia, że sprawuje rząd m o r a l n y w narodzie.

Z takim tylko rządem w Warszawie dziś może się liczyć Polska trójzaborowa, a legalną politykę narodową Warszawy musi lekceważyć i boleć nad nią.

Obrona Warszawy? Ale gdzież oskarżenie?... Społeczeństw się nie oskarża, jeno się wyrozumiewa. Może być jedynie różnica w stwierdzeniach stanu obecnego i w tłumaczeniach jego przyczyn. P. Wolomirski swoim wywodem historycznym celu nie osiągnął, jeżeli chciał przekonać, że Warszawa, jako ognisko myśli narodowej, stoi do dziś na wyżynie zadań stolicy; potem zaś, nie chcąc być jednostronnym, odmalował ciemnemi barwami jej stosunki obyczajowe bez dostatecznego wykazania źródła tych cieniów. Tutaj należałoby Warszawy bronić od jej obrońcy.

Dosyć jest rozumieć stosunki Warszawy, o których wyżej była mowa, aby usprawiedliwić wiele zjawisk ujemnych w jej życiu wewnętrznem. Pod względem obyczajowym i etycznym Warszawa nie jest gorsza od innych miast wielkich w Europie a nawet znacznie jest lepsza. Sprawia to szlachetny charakter ludności polskiej, krzepiony ciągłem cierpieniem, podnoszony idealizacyą niewoli narodowej. Autor przypisuje tej ludności takie wady, jak: bezmyślność, gadulstwo, flirciarstwo, obżarstwo, opilstwo, lekkomyślność, płytkość, efekciarstwo, blagę, udawanie (str 754), wspomina nawet o «głębszej zgniliźnie Warszawy». Któregoż wielkiego miasta nie dałoby się tak scharakteryzować, gdyby te sprawy obyczajowe dobywały się tak jak w Warszawie na pierwszy plan, nie odsuwane w perspektywę dalszych planów przez stosunki i zdarzenia życia publicznego?

Ludzie w Warszawie nie są tak źli i nie w charakterach wyłącznie popsuło się pod rządem moskiewskim społeczeństwo polskie. Te jeszcze istnieją w stanie, którego niejedna rasa mogłaby nam pozazdrościć w podobnych warunkach. Ale psuje się od góry i w ruiny pada budowa naszej cywilizacyi, a społeczeństwo, tracąc jej dach nad sobą, zachowuje się nienormalnie, co — oczywiście — najjaskrawiej występuje w wielkiem mieście, gotowem do przyjmowania najwyszukańszych darów życia cywilizowanego.

Wyżej była mowa o utracie najwyższego daru społecznego — zdolności politycznego myślenia i zachowywania się w sprawach narodowych. Kazano nam się łudzić, że można z tego daru zabdykować i żyć dalej wszystkiemi innemi władzami, jakie pozostały, a więc tworzyć w nauce, literaturze, sztuce, regulować stosunki społeczne, pomnażać dobra materyalne, poprawiać swoją rasę przez umiejętną hodowlę pokoleń,

szerzyć oświatę, podnosić kulturę estetyczną, pielęgnować język, udoskonalać obyczaje, rozwijać życie towarzyskie, szczepić upodobania sportowe i t. d. Pokazało się jednak, że tak nie jest, pokazało się przedewszystkiem na Warszawie. Bez swobód politycznych można było dojść tylko do pewnej mety, a potem trzeba było likwidować cywilizacyę całą, poczynając od góry.

Bez swobody zebrań, ruchu, słowa żywego i drukowanego uniemożliwiło się życie publiczne, co w dzisiejszych warunkach społeczno-ekonomicznych równa się rozbiciu wiązań całej budowy społecznej.

Rząd rosyjski zdezorganizował społeczeństwo polskie, wytrącając obywatelom z rąk wszystkie roboty narodowe i społeczne. Przerwano nawet łączność między pokoleniami, odsuwając społeczeństwo od spraw wychowania publicznego; poprzecinano wszystkie arterye obiegu myśli w prasie i na zebraniach, czyniąc porozumiewanie się rzeczą nielegalną; do autorów przystawiono straż cenzury, przez co literaturze, sztuce i prasie odebrano znaczenie czynnika rozwojowego i kierowniczego. To też Warszawa staje się istotnie «bezładnem zbiorowiskiem ulic i domów bez stylu, ludzi bez ducha i porządku w głowie, społeczeństwem bez kierownictwa i przewodnictwa». Pozostało jej jedynie życie towarzyskie, coraz bardziej zresztą krępowane przez policyę. Zmuszone do spełniania wielu funkcyi, usuniętych z areny publicznej, literackiej, dziennikarskiej, społeczno kulturalnej, rozrosło się ono do chorobliwych rozmiarów. Życie towarzyskie Warszawy robi wrażenie kotliny bez końca, do której wpływa z gór tylko tyle wilgoci, ile potrzeba, aby się żaby mogły hodować, potoki górskie pochowały się gdzieś wewnątrz i tajnemi drogami łączą się z wolnemi obszarami ziemi polskiej. W życiu towarzyskiem Warszawy legalnej znaleźć można uprywatnione pierwiastki spraw publicznych, artystycznych, literackich, niekiedy doniosłe odłamy pracy kulturalnej, wiele szczerego złota uczuć patryotycznych, ale wszystko to razem zamienia się łacno w zabawę z pozorami pracy narodowej, w której samo gadanie *de publicis* wystarcza za pracę.

Oczywiście Warszawa zdołała wyrobić sobie osobny kodeks obyczajowy swego «uprywatnionego życia politycznego», ale kodeks ten zupełnie jest bezbronny wobec przywódców uzurpatorów. Byle «infamis», dobrze się zakrzątnąwszy, potrafi zebrać u siebie ludzi i przewodzić setkom najwybitniejszej inte-

ligencyi. Niepodobna jednak takich zjawisk brać za dowód zgnilizny moralnej tej inteligencyi; rzeczy takie dziać się muszą w społeczeństwie zdezorganizowanem, gdzie salon prywatny zastępuje arenę publiczną i jest potrzebny istotnie.

Warszawie, a z nią krajowi całemu grozi istotnie niebezpieczeństwo wielkie. W nowożytnym układzie stosunków społeczno-ekonomicznych niema nigdzie miejsca na taką dziedzinę życia, którąby można odosobnić od wpływów złego ustroju prawno-państwowego i zapewnić jej jaki taki samoistny rozwój. Bez swobód politycznych nie da się urzeczywistnić żaden ideał życia kulturalnego, społecznego, towarzyskiego, nawet domowego; pod ciągłym uciskiem społeczeństwo musi przyjść do ruiny u samych nawet podstaw. Postęp dokonywa się dokoła nas coraz szybciej i dosyć powstrzymać go u siebie, aby się przez to cofnąć. A my skazani jesteśmy na zastój przez szereg lat dziesiątków. Pocieszamy się tem, że pomimo to «cywilizacyi naszej nie zdołano zniszczyć, choć ją nadwyrężono i wstrzymano jej samodzielny rozwój». Ale czy ta oporność trwać będzie zawsze? Życie idzie naprzód w swojem skomplikowaniu, a im bardziej będzie złożone, tem trudniej będzie je obronić od destrukcyjnego wpływu warunków politycznych. Przy dawnym, bardziej patryarchalnym układzie stosunków społecznych łatwiej było mocą tradycyi samych utrzymać społeczeństwo w posłuszeństwie dla elementarnych przykazań narodowych. Ogół pozostawał mimo wiedzy pod kierunkiem warstw szlacheckich, pielęgnujących te tradycye. W Warszawie samej koła towarzyskie, nadając ton całemu miastu, stamtąd czerpały ideje i nastrój, one tworzyły opinię. Dziś społeczeństwo jest już zdemokratyzowane i o przewadze dawnej sfer szlacheckich nie może być już mowy. Gdzie dzisiaj jest kuźnia opinii, gdzie leży ośrodek nerwowy społeczeństwa — niełatwo już określić.

Punkt ciężkości przeniósł się do środowiska mieszczańskiego, gdzie sterują żywioły najgadatliwsze i najmniej mające prawa decydowania o rzeczach narodowych — żydzi i kobiety. To samo środowisko stanowi o potrzebach umysłowych i rzeczach smaku, wywierając wpływ na prasę, literaturę i sztukę.

W społeczeństwie zdemokratyzowanem nawet życie towarzyskie przeniosło się na ulicę, przybierając charakter publiczny; o ile jest tamowane w tym kierunku w Warszawie, o tyle przybiera charakter chorobliwy. Nauka, literatura i sztuka prze

niosła się także na plac publiczny z klasztorów i dworków; wszystkie one, zdemokratyzowane, szukają, zamiast dawnych mecenasów, oparcia na szerokich masach i opieki specyalnych organów społecznych. Niema takiej dziedziny, w której nie trzeba byłoby odwoływać się do współdziałania mas narodowych. To, co przed 50 laty można było załatwić po domowemu, przynieść społeczeństwu z filantropii prywatnej, dziś domaga się nawet w Warszawie inicyatywy i pracy społecznej.

Nie można więc na dowód żywotności polskiego społeczeństwa w zaborze rosyjskim przytaczać faktów z pierwszej połowy XIX stulecia, bo od tego czasu stosunki gruntownie się przeobraziły i w ostatnich czasach, zmieniając się coraz szybciej, domagają się wielkim głosem wolnej twórczości wszystkich mas narodowych. Dziś niepodobna, jak widzimy dokoła, przedsiębrać nawet akcyi politycznej nazewnątrz bez udziału tych mas, akcyi, która dawniej wymagała decyzyi jednego dyplomaty. Tem trudniej bez organizacyi społecznej myśleć o postępie wewnętrznym, nawet niepodobna zachować bez niej tego, co się już zdobyło.

W czasach nowożytnych, kiedy przywództwo wypadło z ręki jednej określonej sfery, kiedy nawet rodziny są rozbite rozbieżnością interesów i przekonań swych członków, niema sposobu rządzenia inaczej społeczeństwem, jak przez docieranie bezpośrednie do mas. A tymczasem w drodze legalnej Warszawa coraz mniej może w tym kierunku działać, wówczas kiedy potrzeba zapanowania nad masami staje się z każdym dniem coraz naglejsza. To też jeżeli brać miarę z lat ostatnich, rozprzężenie społeczne coraz szybciej postępuje.

Inteligencya, wychowana przeważnie na ideałach narodowych z czasów przed uwłaszczeniem włościan, myśląca ciągle kategoryami dawnemi, niełatwo oryentuje się w stosunkach nowoczesnych Warszawy. Dopiero działalność stronnictwa demokratyczno-narodowego wskazała jednostkom samodzielnie myślącym drogę ratunku. Na nic się nie zdało bowiem odwoływanie się do patryotyzmu jednostek, aby grożący zewsząd upadek powstrzymywał; trzeba uchwycić ster nad zdezorganizowanemi masami przez tworzenie nowej, na zasadach demokratycznych opartej organizacyi narodowej.

Dzieje Warszawy z lat ostatnich i jej przyszłość, jako ogniska życia narodowego, są dziejami stronnictwa tego — jego

zwycięztw politycznych i walki wewnętrznej z małodusznością sfer, pragnących robić politykę i odradzać ginącą cywilizacyę polską przez legalną pracę wespół z rządem rosyjskim.

Wszystkie jaśniejsze chwile lat ostatnich, świadczące o samowiedzy narodowej, Warszawa zawdzięcza nie czemu innemu, jak tylko temu wszechpolskiemu ruchowi politycznemu, łączącemu ją z ludem uświadomionym i z życiem politycznem dwu innych zaborów. Te pokłady podziemne nowej generacyi politycznej dają rękojmię na przyszłość, że leżące w Warszawie i skazane na powolny rozkład zasoby uczuć patryotycznych i żywotności nie pójdą na marne, że wytworzone przez ucisk polityczny bagno życia zbiorowego ma pod sobą jednak grunt trwały, ktory nie pozwoli temu ognisku zginąć dla historyi narodu bezpowrotnie, na wzór owych świątyń legendowych, zapadłych pod ziemię.

Praca nad ocaleniem Warszawy będzie tem trudniejsza, że ta z natury położenia swego i swej misyi handlowej musi mieć skłonności kosmopolityczne. W miarę zanikania twórczości cywilizacyjnej Warszawa, rozrastająca się mechanicznie pod względem materyalnym, łacno wpaść może pod przemożny wpływ elementów obcych i stracić cechy miasta polskiego.

Praca narodowa ma tutaj olbrzymie zadanie. Nie sprosta temu zadaniu podniecająca się w uczuciach, a pozbawiona jednolitej myśli politycznej inteligencya w salonikach, nie sprostają dyplomaci, liczący na układy z rządem rosyjskim. Taka «robota narodowa» budzić musi lekceważenie; powagę Warszawie daje jedynie odpowiadająca jej zasobom i wymaganiom chwili dziejowej zorganizowana walka z uciskiem — i z własnym rozstrojem. *Przygodny.*

III.

Dla uniknięcia nieporozumień poprzedzam uwagi moje nad Warszawą paru słowy wyjaśnienia, z jakiego punktu widzenia zapatruję się na ten przedmiot i dlaczego pewien krytyczny stosunek do Warszawy uważam za uzasadniony i potrzebny.

Warszawa wywiera decydujący wpływ na umysłowość całego Królestwa, w części zaś całego zaboru rosyjskiego, opinie warszawskie działają także i na Galicyę, a w słabszym stopniu i na zabór pruski. Mimo wszystko zachowała ona charakter

stolicy Polski, dla wielu jest jej sercem i wszystko, co stamtąd przychodzi, już przez to samo z łatwością zdobywa uznanie i posłuch w społeczeństwie. Jest wielu, dla których wobec Warszawy i Lwów, i Kraków, i Poznań — to tylko prowincya; stąd warszawiacy na obcym dla siebie gruncie zdradzają i pewność siebie, i zarozumiałość, podobną do tej, jaką okazuje wielkomiejski mieszkaniec, dostawszy się do zapadłego kąta. O ile ta opinia jest często nieuzasadniona, świadczą słowa p. Wolomirskiego w jego apologii Warszawy: «Nic dziwnego zatem, że karyerowicze i błazny rej coraz więcej wiodą w Warszawie, że oni widnieją na horyzoncie». Właśnie ten fakt, zaznaczony przez gorącego obrońcę Warszawy, że dzisiaj na jej czoło wysunęli się «karyerowicze i błazny», nakazuje krytycznie przyglądać się stamtąd wypływającym dzisiejszym prądom umysłowym, opiniom politycznym i t. d., cały bowiem kult, który wszyscy żywimy dla naszej stolicy, może posłużyć w razie przeciwnym za tubę, wzmacniającą głosy nicości literackich i politycznych. Zbyteczna dodawać, że w poniższych uwagach daleki jestem od współzawodnictwa dzielnicowego i od oskarżania Warszawy, której stan dzisiejszy uważam zresztą za przejściowy. Chodzi o to, aby naród oryentował się cokolwiek co do wartości swoich głównych miast, jako źródeł myśli i oświaty, to bowiem nakazuje zdrowa ekonomia jego sił duchowych.

Dla znacznej części opinii znaczenie Warszawy dla naszego życia narodowego określa już dostatecznie ten fakt, że jest ona wielkiem miastem przemysłowo-handlowem. Już dzisiaj ludność jej dosięga 800 tysięcy, a zapewne w bardzo niedalekiej przyszłości dosięgnie miliona, i pod względem rozwoju wielkomiejskiego Warszawa stanie w rzędzie pierwszych miast Europy. Ponieważ zaś przemysł i handel są dźwigniami rozwoju dzisiejszych społeczeństw, przeto tam gdzie one panują i gdzie skupiły masy ludności, «wszystko inne będzie im przydane», bo wytwory cywilizacyi na gruncie swojskim, czy obcym wytworzone, pośpieszą tam, gdzie otwiera się dla nich obszerny rynek i gdzie nagromadzona zamożność stwarza popyt na artyzm, naukę i komfort nowożytnej cywilizacyi.

Uogólniając zbyt pośpiesznie cechy życia wielkomiejskiego, zaczerpnięte ze stosunków obcych, nie należy zapominać o kardynalnej różnicy w warunkach politycznych innych wielkich miast i naszej stolicy; sprawiają zaś one to, że, będąc już dzi-

siaj wielkiem miastem, Warszawa nie żyje wcale życiem wielkomiejskiem w znaczeniu społecznem, lecz w znacznej mierze życiem partykularza, wązkiem życiem zacieśnionych widnokręgów umysłowych.

Nowożytne wielkie miasta nietylko skupiają na jednem miejscu setki tysięcy ludzi, lecz i organizują je, łącząc nagromadzoną ludność siecią najrozmaitszych związków i wytwarzając ogniska, skąd promieniują prądy myśli i dążeń przedewszystkiem na miasto, a następnie na kraj cały. Tam, gdzie równolegle ze wzrostem ludności nie podąża skupianie jej około pewnych ośrodków, gdzie masy, z tych czy innych powodów, znajdują przeszkody na drodze organizacyi, gdzie mechanicznemu zgromadzeniu ludności nie towarzyszy integracya wewnętrzna, tam spotkamy się z różnemi oddzielnemi cechami życia wielkomiejskiego, przeważnie ujemnemi, lecz nie znajdziemy tego potężnego pulsu życia społecznego, jaki bije w ogniskach nowożytnej cywilizacyi. Wprawdzie sam przemysł i handel do pewnego stopnia organizują tę ludność, ale same przez się jeszcze nie tworzą ośrodków wyższych funkcyi społeczeństwa cywilizowanego.

Jedną z takich funkcyi, i to najważniejszych jest nauka. Jej ośrodki w społeczeństwie — to uniwersytety, akademie, towarzystwa naukowe i t. d., a gruntem naturalnym, na którym się rozwija, jest sfera ludzi, interesujących się jej rozwojem i otaczających jej pracowników pewnym szacunkiem. Warszawa posiada uniwersytet, politechnikę i kilka jeszcze zakładów naukowych, ale ani jeden z nich nie odegrywa dla społeczeństwa warszawskiego roli ogniska oświaty. Są one zakładami naukowymi, dającymi prawników, doktorów i inżynierów, z życiem umysłowem Warszawy nie mają prawie styczności, stanowią obcą narośl na naszem ciele. Odmienny był stosunek do społeczeństwa Szkoły Głównej, a nawet uniwersytetu warszawskiego w pierwszych latach istnienia, kiedy ciało profesorskie składało się z Polaków. Szkołę Główną pod pewnym względem uważać można za kolebkę ruchu pozytywistycznego i w duchu ożywiającym ją, możnaby odnaleźć niejedną cechę samego ruchu.

Bez organizacyi nauka rozwijać się nie może: bez niej nietylko zabraknie materyalnych środków, ale i zachęty ze strony społeczeństwa — rzecz bynajmniej nie małej wagi — w końcu w opinii zatrzeć się może różnica między uczonym a reporterem

od sensacyi z naukową terminologią. Zwyrodnienie to grozi nauce tam, gdzie z braku organizacyi z funkcyi społecznej staje się ona sprawą prywatną jednostki, małych kółek i koteryjek, które tworzą sąd i ustanawiają kryteryum wartości pracowników naukowych.

Prąd; zwany pozytywistycznym, miał pewną określoną grupę inteligentnej publiczności, która była naturalną sferą jego rozszerzania, nie wytworzył on jednak żadnych ognisk nauki, żadnych ośrodków życia umysłowego, bo przecież niepodobna za takie uważać dawniejszych tygodników postępowych. Nie można mu z tego czynić zarzutu, ale należy zauważyć, że właśnie głównie koryfeusze tego kierunku sami nie rozumieli i publiczność pouczali błędnie co do tego, od czego zależy postęp nauki i jakie są warunki jej rozkwitu. Wyobrażając sobie, że są jej pionierami, zrobili oni ze współczesnych teoryi przyrodniczych hasła społeczne, w imię których zwalczali konserwatyzm, klerykalizm i t. d. Przypominanie tego stosunku pozytywistów do nauki mogłoby się wydawać niepotrzebnem znęcaniem się nad ich błędami z przed lat dwudziestu, gdyby ich epigonowie dzisiejsi od czasu do czasu nie ujawniali roszczeń do tego, że np. oni wywalczyli uznanie dla teoryi Darwina i nawet zmusili zachowawców do jej przyjęcia [1]). Publicysta taki nie pamięta o tem, że w Krakowie, okrzyczanym za siedlisko wstecznictwa i klerykalizmu, teorya Darwina jest oddawna wykładana z katedr przez profesorów, należących do stronnictwa konserwatywnego. Co się zaś tyczy rozwoju i jej samej, i wszystkich innych teoryi naukowych, to los ich zupełnie jest niezależny od zwycięztw lub porażek «postępu», od wrzawy tygodników i dzienników, lecz od badań prawdziwych pracowników naukowych. Tych nie wytworzył wcale ruch pozytywistyczny, nie posunął bynajmniej naprzód nauki. Rola jego polegała na szerzeniu pewnego kultu dla «wiedzy», na propagowaniu pewnych teoryi albo doktryn, na specyalnem zabarwieniu ich światłem «antyklerykalnem». Działalność ta wyrażała się i po dziś dzień wyraża w ożywionym ruchu wydawniczym, przeważnie w zakresie dzieł obcych, odpowiadających upodobaniom umysłowym tej sfery, na którą «postęp» przeważnie oddziaływał. Stosunek do nauki pozytywistów był jednostronny: nie po-

---

[1]) Artykuły jubileuszowe *Prawdy* r. 1900.

pełnimy przesady, twierdząc, że przeważnie szukano w niej oręża przeciw «wstecznictwu», a wyraz ten pojmowano niezmiernie szeroko. Pod wpływem tego wytworzył się pogląd na naukę i stosunek do niej taki, jaki jest niemożliwy w kraju, posiadającym własne instytucye naukowe, związane z odpowiedniemi instytucyami zagranicznemi: te bowiem, uczestnicząc choćby biernie w ogólnym ruchu umysłowym, stąd zaś pamiętając o zadaniach nauki, nie każą wysługiwać się jej przelotnym kaprysom publiczności. A właśnie w Warszawie, człowiek zajmujący się nauką gubi często swoją drogę. Nie związany z żadnem towarzystwem naukowem na miejscu, w sferze, która ocenić uczonego nie potrafi, a z braku własnych instytucyi zaczerpnąć gotowego kryteryum nie może, człowiek, który mógłby być pracownikiem naukowym, więcej niż gdzieindziej rachować się musi z wymaganiami tej sfery towarzyskiej, w której żyje, aby być zajmującym. Ponieważ zaś w towarzyskiem życiu wiodą rej kobiety, więc zdążył się już wytworzyć typ damskiego uczonego, rekrutujący się — i to właśnie rzecz najważniejsza pod względem społecznym — z ludzi nieraz zdolnych, którzy mogliby wzbogacić naukę naszą jakiemś dziełem wartościowem, w nieodpowiedniem zaś środowisku, rozmienili swój umysł na drobną monetę i stali się tylko przedmiotem zainteresowania dla mniej lub więcej obszernej sfery towarzyskiej. Rachunek pozytywizmu, jako kierunku umysłowego, uważać możemy za zamknięty, koła «postępowo» myślących ludzi rozsypują się same przez się, gdyż to, co ich łączyło, przeżyło się z powodu ubóstwa treści wewnętrznej, a tygodniki postępowe stanowią siedliska unieruchomienia myśli i «postępowego» obskurantyzmu.

W Warszawie nauka z potęgi i dźwigni społecznej przeszła do dziedziny prywatnego życia i zaczyna dostarczać tylko umysłowej rozrywki, traktowana, jak bieżąca beletrystyka. Upadek ruchu naukowego wobec tego jest zupełnie zrozumiały.

Zatrzymałem się dość długo nad stanem nauki w Warszawie dlatego, że na losach jej stwierdzić można, jak dalece temu wielkiemu miastu nie odpowiada stan organizacyi, potrzebnej do wykonywania wyższych funkcyi życia zbiorowego. Nauka jest właśnie taką funkcyą, która wymaga i organów swoich, i właściwej sfery.

Kiedy zapytamy, jaką określoną fizyognomię duchową ma

Warszawa, gdzie szukać wyrazu jej opinii, jakie koła ją wytwarzają i t. d., odpowiedź wypadnie najrozmaiciej, stosownie do tego, jakie koła i jakie towarzystwa uważać zechcemy za najwierniejszych jej reprezentantów.

Zdanie sobie sprawy z tego, co Warszawa myśli, co czuje, co ją rzeczywiście interesuje, jest rzeczą niezmiernie trudną, a to dlatego, że w zachodniej Europie opinia ma liczne i różnorodne środki organizacyi, Warszawa zaś z wyjątkiem prasy nie ma żadnego innego organu, któryby służył tej społecznej potrzebie. Prasa to ważny, może najważniejszy czynnik gdzieindziej — w Warszawie zaś jej rola to parodya jej istotnych zadań.

Po za częścią czysto informacyjną prasa służy do omawiania spraw ogólnych i do organizowania opinii, aby sprawy same rozwiązać tak lub inaczej, zgodnie ze stanowiskiem tego czy innego stronnictwa. Im więcej kwestyi interesuje publiczność, tem prasa jest żywotniejsza i tem ważniejszą odegrywa rolę. Ponieważ największa ilość spraw naszych usuwa się z pod kontroli naszej opinii i stanowi rzecz rządu, a względem tych nielicznych, które omawiać wolno, dzienniki zajmować muszą stanowisko jedynie wyjaśniające i informacyjne, prasa nasza skazana jest na nieuniknioną anemię, która stanowi jej rys zasadniczy. Ze stanowiska europejskiego możnaby powiedzieć, że na mocy pewnej konwencyonalnej umowy dziennikarze warszawscy bawią się w politykę, w partye, w obozy, tak mało treść dzienników ma wspólnego z życiem realnem.

Dzisiejsza np. prasa postępowa, chcąc odegrać coś w rodzaju roli europejskiej partyi politycznej, musiała i musi zadawalniać się od początku swego istnienia fikcyami, odnosić papierowe zwycięztwa nad abstrakcyami, a właściwie nad wyrazami. Rezultatem takiej praktyki prasowej musi być zamiłowanie w pozorach przy braku treści realnej, orgia frazesu, wreszcie zrobienie z publicystyki pewnego rodzaju literatury, która zadawalniać może pewne gusty, ale nie ma żadnego znaczenia społecznego. Czytając dzienniki warszawskie, dochodzi się do przekonania, że ludzie, redagujący je, piszą dla zapełnienia numeru i dania pewnej rozrywki czytelnikom, bez poczucia tego, że publicysta, zachęcający do czegoś, lub od czegoś odwodzący, winien brać odpowiedzialność za swoje wskazówki. Ale bo też artykułów w takich warunkach nie pisze się dla wskazywania

praktycznych dróg, lecz traktuje się je jak utwory literackie, mające jedynie na celu wprowadzenie czytelników w pewien nastrój. Lekkomyślność polityków warszawskich w poruszaniu najdrażliwszych kwestyi tylko w takim stosunku do własnych produkcyi znaleźć może wyjaśnienie. Pomijam wojnę angielsko-boerską, która przynajmniej nie potrącała o bezpośrednie nasze interesy, ale cóż powiedzieć, jeżeli cenzuralne pismo warszawskie, wcale nie ugodowe, ośmiela się ostro krytykować stanowisko przedstawicielstwa polskiego w Wiedniu za jego postawę wobec trójprzymierza. Mojem zdaniem pismu pod cenzurą rosyjską wprost nie wolno rozstrzygać takiej kwestyi, równa się to bowiem uznaniu cenzury za najbardziej powołany czynnik w sprawie urobienia naszej opinii politycznej.

Wogóle zaznaczyć należy z całym naciskiem, że dziennikarstwo nasze nie umiało zrozumieć i postawić należycie stosunku swojego do cenzury; ten stosunek pozostaje dotąd biernym, gdy powinien być więcej czynnym. Dziennikarz warszawski pisze na sposób zagraniczny, potem cenzura wykreśla to, co chce, i daje ostateczne zabarwienie: tak np. ciągłe przedstawianie ujemnych stron życia Zachodu wytwarza stałą suggestyę, że jedynem państwem, do którego przyszłość należy, jest Rosya; tak samo nieostrożny prąd antyniemiecki wytwarza moskalofilstwo i t. d. Należałoby wogóle postawić kwestyę na innym gruncie i już, z góry licząc się z cenzurą, przerobić typ pisania i typ układania dzienników, tak, aby odpowiadały naszym potrzebom. Cała np. polityka zagraniczna powinna mieć charakter ściśle informacyjny, jeżeli nie wolno nam patrzeć na nią z punktu widzenia naszych interesów. Równoległa zmiana powinna być zaprowadzona w traktowaniu innych zagadnień aż do prądów pozornie czysto umysłowych. Cenzura rosyjska jest bardzo szkodliwa, trzeba to dobrze pamiętać, ale nie trzeba prócz tego zapominać, że staje się ona dziesięć razy więcej zabójczą przy zupełnej bezmyślności, lekkomyślności i chęci naszych dziennikarzy do udawania swoich kolegów zachodnio-europejskich. Przerobienie typu naszej prasy pod cenzurą wymagałoby naturalnie większego wykształcenia i inteligencyi, bo trudniej udzielać ścisłych i porządnych informacyi, niż operować frazesami i moralnemi naukami; wymagałoby to większego wyrobienia politycznego i poczucia odpowiedzialności; wreszcie pogodzenie się ze skromną rolą dziennikarza polskiego z pod cenzury warszaw-

skiej byłoby trudne dla dzisiejszego areopagu, przed którym niedawno w roli winowajców defilowali Chamberlain i większa część współczesnych mężów stanu.

Prasa jest organem opinii ważnym, ale nie jedynym. Jednak i innych środków wytworzenia jej brak Warszawie. Życie społeczne nie może być, jak na Zachodzie publicznem, gdzie nawet wyrazy te są prawie synonimami; musi ono szukać przytułku w ogniskach domowych, zlać się w jedno z życiem towarzyskiem.

Ale to pomieszanie dziedzin tak różnych odbiło się w sposób fatalny na życiu społecznem, na dojrzałości opinii, na jej konsolidacyi. Zapatrywania polityczno-społeczne przestały być tem, czem być powinny, t. j. punktem wyjścia czynu społecznego, lecz zyskały znaczenie pewnego uniformu umysłowego, potrzebnego na to, aby zyskać miano człowieka porządnego, ma się rozumieć, stosownie do poglądów tego czy innego kółka. W takich warunkach sprawdzanie słuszności zapatrywań, mierzenie ich aktualnemi potrzebami żywego społeczeństwa jest zbyteczne, bo wymagania etykiety towarzyskiej są same dla siebie celem, a poglądy, traktowane bezwiednie z punktu etykietalnego, mogą być bezsensowne i nie mieć żadnego zastosowania, dość, żeby były «sympatyczne».

To też cechą charakterystyczną Warszawy dzisiejszej jest to, że w chwilach ważnych potrafi ona odrazu zdobyć się na n a s t r ó j odpowiedni, ale bardzo trudno zdobyć się jej na m y ś l w zakresie społeczno-narodowym. Taki właśnie charakter noszą momenty, podniesione przez p. Wolomirskiego, jak chwila odsłonięcia pomnika Mickiewicza.

Nic dziwnego. Nawet moda, na to, aby stać się panującą, musi mieć swoich prawodawców i prawodawczynie, musi mieć swoje centry; czyż funkcye zbiorowe społeczeństwa cywilizowanego mogą się obywać bez organizacyi? Na przykładzie nauki, prasy i wogóle opinii społecznej widzimy co się z niemi dzieje, gdy przechodzą do dziedziny prywatnej — wyrodnieją i przybierają cechy rozrywki. Im więcej zwęża się sfera czynu zbiorowego, im więcej jednostki pracujące dla dobra ogółu kryć się muszą ze swoją działalnością, im więcej życie publiczne staje się pozbawionem treści, tem większa pokusa dla błaznów odegrywania roli głośnej i wybitnej. Nicości takie pragną tylko rozgłosu, wszystko im jedno, czy robią coś realnego, czy są

lichymi aktorami. Jest to psychologia wielu działaczy ugodowych, którzy tanim kosztem zostali politykami, jest to również psychologia frazesowiczów i blagierów dziennikarskich, uważających społeczeństwo za publiczność cyrkową, którą porywają swojemi produkcyami. Ktoby z tych przedstawicieli chciał sądzić Warszawę, popełniłby wielki błąd, wypada jednak podkreślić, że objawów życia publicznego nie można przecież ignorować, chociaż nikt nie myśli utrzymywać, że jest ono w dzisiejszej swojej postaci wiernym obrazem rzeczywistej umysłowej i społecznej wartości Warszawy.

Żyjąc, w braku silniejszych i rozleglejszych związków organizacyjnych, życiem niewielkich i luźnych koteryi, odczuwa jednak ogół warszawski ów brak poważnych regulatorów opinii. Kiedy życie wysunie na porządek dzienny jakąś sprawę donioślejszego znaczenia narodowego, zaniepokojony wzrok szerokich kół zapytuje, co myślą ci, którzy dzisiaj przypominają światu cywilizowanemu o istnieniu Polski, a więc ludzie, reprezentujący literaturę, sztukę i naukę polską. Ta dążność do poszukiwania przewodników politycznych jest zdrowym przejawem instynktu narodowego i świadectwem, że mimo stanu, który Europejczyk nazwałby chronicznym stanem oblężenia, istnieje w publiczności warszawskiej nawpółświadoma potrzeba organizacyi opinii narodowej.

Ale ludzie, na których zwrócone są w takich razach oczy ogółu, nie mogą dać mu tego, czego od nich wymaga, t. j. dojrzałych wskazówek zbiorowego postępowania. Tylko w anormalnych więziennych warunkach Warszawy, na powieściopisarzy, poetów i t. d. spadła ta rola, jaka na Zachodzie przypada wybitnym politykom, i to nie występującym jako jednostki, lecz jako przywódcy zorganizowanych ciał zbiorowych, wraz z nimi ponoszących odpowiedzialność. Przedstawiciele piśmiennictwa, nauki, sztuki w sprawach społecznych i politycznych są zwykle echem najbliższego otoczenia i to tem zupełniej, im więcej sił oddawać muszą swemu właściwemu zakresowi działalności. To też w sprawie t. zw. ugody kilka głośnych i rzeczywiście zasłużonych nazwisk odegrywało rolę dekoracyjną, właściwymi zaś reżyserami tej akcyi byli ci, w których ręku spoczywa siła społeczna, kapitały, wpływy, stosunki, t. j. arystokracya i żydowska przeważnie plutokracya.

Genialni przedstawiciele literatury, których liczba po

wszystkie czasy była niewielka, umieją sięgnąć do głębin duszy zbiorowej, podsłuchać nawpółświadome szepty i dać im wyraz w swoich dziełach. Przeważna większość czerpie wprost z już skrystalizowanej świadomości społecznej. Otóż charakter piśmiennictwa warszawskiego, zwłaszcza literatury pięknej, i poglądy na zagadnienia narodowe wśród jego przedstawicieli nasuwają pytanie, czy świadomość społeczna Warszawy jest w istocie taka, jaka przystoi «metropolii», według wyrażenia p. Wolomirskiego. Ośmieliłbym się twierdzić, że nie. Wpływy moskiewskie pozostawiły ślady daleko wyraźniejsze na naszej umysłowości, niż się zdaje powszechnie, nietyle pod względem pozytywnym, ile negatywnym, przygłuszając wydobywającą się na wierzch myśl polską i oswajając ją ze stanem ucisku. Prąd pozytywistyczny, wrogi wszystkim wyższym przejawom myśli narodowej i z niego się wywodzący socyalizm warszawski ze swoim radykalizmem cenzuralnym, wychowały całe pokolenia i dzisiaj ciążą przygniatającem brzemieniem, jeżeli nie na sercach i instynktach, to na mózgach naszej inteligencyi. Literaci warszawscy tak dobrze nauczyli się chodzić w jarzmie cenzury, że nie odczuwają częstokroć jej ucisku, zatracili zdolność pisania bez niej, a więc utworzyli sobie cenzuralny świat ducha. U niektórych, bardzo wybitnych spotykamy niezaprzeczone polskie instynkty i nawet polską budowę umysłu, cała wszakże wierzchnia warstwa świadomości polityczno-społecznej, wszystkie ich koncepcye humanitarno-kosmopolityczne, sklecone są ze strzępków zachodniej cywilizacyi, które różne wiatry do nas przynoszą.

Te wyższe objawy duchowości narodu są czułym odczynnikiem: wskazują one w tym przypadku, że spodnia warstwa umysłowości warszawskiej, sfera instynktów ludności, pozostała polską, ale wierzchnia, wyrażająca się w poglądach, w myśli politycznej i społecznej uległa poważnym zboczeniom. Niedawno pewien żyd inteligentny w rozmowie ze mną utrzymywał, że Warszawa jest dziś wielkiem miastem, bardzo odpowiedniem do rozszerzania «prądów wszechludzkich». Jestem pewny, że te perspektywy «wszechludzkości» należą do przeszłości raczej, niż do przyszłości, ale musi być wiele w Warszawie pierwiastku, który z tej strony budzi takie różowe nadzieje.

Warszawie brakuje do charakteru metropolii żywego odczuwania, tem więcej zaś rozumienia spraw ogólno-polskich. Niech nas nie łudzą składki na gimnazyum cieszyńskie, ani

wrzawa antyniemiecka po Wrześni, na którą wiele postronnych czynników wpływało. I w Poznańskiem, i w Galicyi wysunęły się sprawy pierwszorzędne, dla których po za zdawkowymi frazesami dziennikarskimi brak w inteligencyi warszawskiej zainteresowania, brak, powiedziałbym, współczucia narodowego. Powołać się mogę choćby na kwestyę ruską.

Warszawie brak organizacyi, która nietylko rozbitej publiczności dałaby dostateczny cement i zużytkowała zdrowe instynkty, spoczywające w głębiach ludności, ale także, zmieniając środowisko, oddziałała decydująco na wyższe funkcye społeczno-psychiczne, nawet na literaturę, sztukę i t. d. Dokonać tego może tylko organizacya tajna całej tej strony życia, której jawnie organizować nie można.

T. G.

Z CAŁEJ POLSKI.

Mowa posła Głąbińskiego. Przemiany polityczne w Galicyi. Polskie Towarzystwo wyborcze na Górnym Ślązku. Lud wobec rządu w Królestwie.

«Dziewicza mowa» posła Głąbińskiego, wygłoszona w parlamencie wiedeńskim, a poświęcona wyłącznie sprawie ruskiej, stała się znamiennym wypadkiem politycznym i zwłaszcza w Galicyi zyskała gorące uznanie w szerokich kołach inteligencyi polskiej.

Sama mowa, doskonale ułożona i wygłoszona, dowodzi, że poseł Głąbiński stać się może świetnym parlamentarzystą, nie ma ona jednak właściwie charakteru programowego, bo jest w treści swej niemal wyłącznie polemiką z potwarczymi zarzutami Rusinów i socyalistów. Ale programowym, że tak powiem, jest jej ton śmiały i męzki, brzmiący stanowczą decyzyą i wiarą w siłę swego narodu, ton, jakiego oddawna nie słyszano w przemówieniach polityków polskich ani w Wiedniu, ani w kraju.

Nie omylę się chyba w przypuszczeniu, że z powodu tego tonu przedewszystkiem nietylko zaliczono, ale i pasowano prof. Głąbińskiego w organach socyalistycznych i... stańczykowskich na przedstawiciela i *leadera* stronnictwa wszechpolskiego, chociaż ani stronnictwo nasze żadnego oświadczenia nie składało, że prof. Głąbiński do niego należy, ani on sam bynajmniej w tym charakterze nie występował.

Nie znaczy to wcale, żebyśmy wypierali się p. Głąbińskiego lub nie solidaryzowali się z treścią i tonem jego przemówienia, jak to uczynili niektórzy jego towarzysze polityczni, należący do odłamu demokracyi nie-narodowej. Ci panowie po dojrzałym namyśle i naradzie z socyalistami, którym w pewnej mierze zawdzięczają swoje mandaty, chcieli nawet uroczyście przeciw p. Głąbińskiemu wystąpić, pod pretekstem, że oskarżenia swoje rozszerzył na cały naród ruski. Ale wczesne zdemaskowanie w *Słowie polskiem* tego niedorzecznego projektu uchroniło pp. demokratów krakowskich od ostatecznej kompromitacyi.

Rzecz ciekawa, że mowa prof. Głąbińskiego, która znalazła żywy oddźwięk w społeczeństwie, nie podobała się nietylko socyalistom i Rusinom, przeciw którym była wymierzona, ale również stańczykom i skoncentrowanym demokratom krakowskim oraz ugodowcom petersburskim z *Kraju*. Wszyscy ci przeciwnicy różne wysuwają motywy i różnym przemawiają tonem, ale wszyscy zarówno są z wystąpienia p. Głąbińskiego niezadowoleni i poniekąd niem zaniepokojeni.

Do tej kampanii przyłączył się i *Kuryer lwowski*, ale nie jako organ stronnictwa ludowego, tylko jako organ pp. Wysłoucha i Stapińskiego, którzy istotnie mogą mieć uzasadnione powody do niepokoju. Stronnictwo bowiem ludowe w osobach swoich przedstawicieli, posłów włościańskich, zsolidaryzowało się z przemówieniem i stanowiskiem politycznem w sprawie ruskiej prof. Głąbińskiego, co p. Olszewski w Radzie państwa wyraźnie zaznaczył. Nie dosyć na tem, rozeszła się wkrótce wiadomość, którą *Kuryer lwowski*, acz niechętnie, stwierdzić musiał, że posłowie ludowi, pp. Bojko, Krempa, Olszewski i Kubik, chcą wstąpić do Koła polskiego, aby w ten sposób silniej zaznaczyć, iż stoją przy zasadzie solidarności narodowej.

Słowem, w życiu politycznem Galicyi zarysowywać się zaczyna ten przełom, który, jak to kilkakrotnie zaznaczaliśmy, nastąpić w niem musi. Zasady, według których miały się grupować, a właściwie w ostatnich czasach różniczkowały się stronnictwa w coraz to nowe odłamy, te zasady nie odpowiadają dzisiejszym warunkom. Stronnictwa dotychczasowe w blizkiej już zapewne przyszłości przestaną istnieć i wytwarzać się zaczną nowe, na nowych zasadach. Mowa p. Głąbińskiego była jakby hasłem do rozłamu stronnictw istniejących na dwie zasadnicze grupy i zarazem hasłem do integracyi nowych stronnictw.

Powtarzamy, rzecz to ciekawa i znamienna, że przeciw mowie prof. Głąbińskiego wystąpiły organy tych kierunków politycznych, które, jeżeli nie wszystkie są antynarodowymi, to z pewnością nie są narodowymi, bo swoich interesów partyjnych nie podporządkowują interesowi ogólno-narodowemu. Zazwyczaj bardzo ostrożny w wynurzeniach swoich *Czas* w tym wypadku jawnie wystąpił przeciw bezwzględnemu stosowaniu nawet wobec Rusinów zasady solidarności narodowej, dowodząc, że i w tej sprawie «pomimo deklaracyi stronnictw radykalnych potrzeba zespolenia się elementów zachowawczych Galicyi wschodniej pod sztandarem rozumnej i wytrawnej polityki istnieć nie przestała».

Ale zdaje nam się, ba, mamy nawet pewność, że znaczna część «elementów zachowawczych Galicyi wschodniej» w sprawach polityki narodowej nie podziela «rozumnych i wytrawnych» poglądów krakowskich mężów stanu. Przedwczesnem zapewne jest wyrażone w *Słowie polskiem* przypuszczenie p. Studnickiego co do możliwości «porozumienia się rzetelnych polskich żywiołów demokratycznych z lepszymi przedstawicielami szlachty wschodnio-galicyjskiej i podjęcie zadania wspólnej obrony polskości i samodzielności kraju». Ale jest faktem niewątpliwym skupianie się różnych stronnictw i kierunków opinii pod jednym sztandarem, wytwarzania się wielkiego stronnictwa narodowego, w którem zarówno zachowawcy polscy, jak polscy demokraci, znajdą właściwe dla siebie miejsce. W sprawach, w których chodzi nietylko o wspólną obronę interesów ogólno-narodowych, ale i o pracę pozytywną w odpowiednim zakresie, mogą działać solidarnie przedstawiciele kierunków politycznych, znacznie się różniących między sobą. Konieczność takiej obrony i możliwość takiej pracy wykazała właśnie sprawa ruska.

Ruch ludowy polski na Górnym Śląsku, występujący pod sztandarem demokratyczno-narodowym, wobec zbliżającej się kampanii wyborczej zwraca się wyraźnie przeciw centrum i zaczyna się do akcyi politycznej organizować pod hasłem: «wybierajmy swoich». Niedawno odbyło się w Gliwicach liczne zebranie, na którem zawiązano po długich, ożywionych naradach «Polskie Towarzystwo wyborcze». Do tego towarzystwa należą nietylko przedstawiciele warstw ludowych, ale i kilku przedstawicieli nielicznej na ogół inteligencyi górnośląskiej. Fakt ten wymownie przeczy twierdzeniu niektórych pism poznańskich,

że stronnictwo demokratyczno-narodowe na Górnym Ślązku reprezentują tylko dwaj redaktorowie *Górnoślązaka* i kilku studentów. «Polskie Towarzystwo wyborcze» nie należy oczywiście do ścisłej organizacyi stronnictwa w zaborze pruskim, ale niewątpliwie w myśl jego programu działać będzie.

Towarzystwo po ukonstytuowaniu się wydało odezwę z której przytaczamy ważniejsze ustępy dla zaznaczenia charakteru i dążeń ruchu narodowego na Górnym Ślązku.

«Przez wieki całe — piszą inicyatorowie Towarzystwa wyborczego — Ślązk był odcięty od pnia macierzystego. Wszyscy ci, którzy mogli mu być przewodnikami, przeszli do obozu niemieckiego i tam razem z Niemcami pracują nad zanikiem żywiołu polskiego. Szlachta, duchowieństwo, mieszczaństwo, jednem słowem wszyscy, którzy pod względem majątkowym lepiej byli wyposażeni, zniemczyli się, a pozostał wiernym językowi i obyczajom ojczystym tylko lud biedny. Zabłysła atoli i u nas zorza odrodzenia narodowego. Lud zaczął się budzić i przejrzał, że i on jest polskim, że mówi tym samym językiem, co rodacy jego pod Poznaniem, Warszawą i Krakowem, że obyczaje i dążności jego są te same, co reszty Polaków, że i on ma prawo do bytu narodowego. Przejrzawszy ostatecznie i zabierając się do walki, lud nasz przekonał się odrazu, że nie ma ani wprawy w niej, ani też zna jej sposobów. Nic więc dziwnego, że jednostki inteligentne odrazu musiały wziąć przewodnictwo całego ruchu w ręce swoje i kierowały całą sprawą naszą tak, jak to uważały za stosowne. Jednostkami temi u nas byli redaktorzy nielicznych pism polskich, wychodzących na ziemi śląskiej. Każdy przyznać musi, że owoce ich pracy mozolnej są wielkie. Nikt zaprzeczyć nie może, że polska teraźniejszość i przyszłość wdzięczną im będzie za dokonaną pracę».

Powyższe zdanie stosuje się przedewszystkiem do dawnych i dzisiejszych redaktorów *Katolika*, odezwa jednak w dalszym ciągu zaznacza, że ruch narodowy nie może ulegać indywidualnemu kierownictwu jednostek, że lud górnośląski wyrobił się politycznie, a liczba inteligencyi miejscowej w ostatnich latach szybko wzrosła.

«Z tych oto przyczyn wynika, że dziś nie może już być mowy o tem, aby redaktorzy i wydawcy gazet narzucali swoja politykę społeczeństwu całemu. Losami społeczeństwa powinny kierować nie jednostki, lecz obywatele sami i to przedstawiciele wszystkich warstw stojących na podstawie narodowej.

«Dlatego też my, jako obywatele polscy i zjednoczeni przedstawiciele wszystkich warstw społecznych, mający na oku wyłącznie dobro społeczeństwa naszego, postanowiliśmy ująć sprawy publiczne w ręce swoje i cały nasz ruch narodowy skierować na drogi prawidłowe.

«Jesteśmy Polakami! Oto wyznanie naszej wiary politycznej.

«Jako Polacy, nie możemy zezwolić na to, aby panoszyły się na ziemi polskiej jakiekolwiekbądź stronnictwa niemieckie. Tu, na tej ziemi polskiej, zamieszkałej przez milion przeszło ludności polskiej miejsce jest dla nas».

Jest to hasło agitacyjne «precz z centrum», tylko już po-

litycznie sformułowane i «polityczniej», w znaczeniu staropolskiem, wygłoszone.

Odezwa zaznacza, że ruch narodowy nie zwraca się przeciw centrum, jako stronnictwu katolickiemu. Przeciwnie, w sprawach religijnych powinniśmy iść razem. Ale centrum jest zarazem stronnictwem niemieckiem, nie ma więc prawa przedstawiania ludności polskiej, wreszcie staje się coraz bardziej stronnictwem rządowem i w tej roli — dla nas wrogiem.

Ruch narodowy zwraca się również przeciw socyalistom nietylko niemieckim, ale i polskim, bo są wrogami wiary katolickiej, drogiej ludowi, uważają narodowość za rzecz podrzędną, wreszcie sieją nienawiść i podżegają szkodliwą dla społeczeństwa waśń klasową.

Dalej jednak odezwa zaznacza stanowczo i wyraźnie charakter demokratyczny ruchu narodowego na Śląsku.

> «Jako Polacy całą naszą działalność na polu politycznem i zarobkowem musimy oprzeć wyłącznie na interesach szerokich mas ludu... Dlatego musimy ująć w karby dorywczą pracę dotychczasową na polu oświaty ludowej, organizacyi sił ludowych w spółkach i związkach zawodowych, a do Berlina wysyłać jako przedstawicieli mężów takich, którzy znają opłakaną dolę ludu naszego i bezwzględnie będą zwalczali krzywdy wyrządzane nam przez władze państwowe, przez zorganizowanych i niezorganizowanych nieprzyjaciół narodowości naszej, krzywdy wyrządzane nam przez wielkich kapitalistów i ich urzędników».

Posłowie narodowi wstąpić powinni do Koła polskiego, ale wobec odmiennego charakteru stosunków społecznych i ekonomicznych na Górnym Śląsku, muszą mieć wolność głosowania w sprawach, które tych stosunków dotyczą.

Znaczenie odezwy najlepiej określić można własnemi jej słowy. «Zrobiliśmy początek, przedsięwzięliśmy krok wielkiej doniosłości dziejowej, bo jest to pierwsza zbiorowa próba połączenia całego narodu polskiego w zaborze pruskim».

Prasa niemiecka, zwłaszcza katolicka, mocno jest zaniepokojona odezwą i powstaniem towarzystwa wyborczego. Zachowawczo-ugodowe pisma polskie, nie mogąc otwarcie przeciw odezwie i ruchowi narodowemu wystąpić, czepiają się szczegółów, jak np. *Dziennik poznański*, który protestuje przeciw «wyjątkowemu» stanowisku przyszłych posłów śląskich i rozbijaniu solidarności Koła polskiego.

O tej kwestyi zawcześnie byłoby teraz mówić i, jeżeli w odezwie zamieszczono przytoczone wyżej zastrzeżenie, to musiano to zrobić nawet dla względów taktycznych, socyaliści

bowiem w agitacyi swej przeciw ruchowi narodowemu wytaczają argument, że posłowie górnośląscy będą musieli wraz z Kołem polskiem występować przeciw uprawnionym żądaniom mas ludowych.

Dziennik berliński, który pod nową redakcyą w niejednej już sprawie zmienił barwę, bierze tym razem w obronę ruch narodowy na Górnym Śląsku, dowodząc, że gdyby nawet żywioły radykalne nie zdołały zamiarów swoich przeprowadzić, to jednak z ich wystąpienia powinni skorzystać ci politycy, którzy pragną sojuszu z centrum, i wytargować korzystniejsze dla nas warunki. Pismo berlińskie powtarza to, co nieraz nietylko w zastosowaniu do spraw zaboru pruskiego zaznaczaliśmy z naciskiem, że samo istnienie radykalno-narodowej organizacyi ułatwia znakomicie zadanie żywiołom kompromisowym.

«Centrum oczywiście stanowczo zwalczać będzie narodową partyę, bronić będzie swego stanu posiadania na Ślązku, ale «przycisnąć do ściany», zdusić zupełnie ruchu nie może — musi liczyć się z coraz to wzrastającem i szerzącem się uświadomieniem ludu na Ślązku. Wie zresztą, że przeciwnicy radykalnego stronnictwa wśród polskiego społeczeństwa jedynie z praktycznych i taktycznych względów pragną sojuszu z centrum, nie odmawiając w zasadzie racyi żądaniu, iżby Ślązk wysyłał posłów polskich, a skoro cały lud śląski tego domagać się będzie, wtedy i «katolikowcy» pójdą przeciwko centrum».

«Niechże Bóg poszczęści tym — kończy *Dziennik berliński* — co tę chwilę przygotowują! My nie mamy na razie powodu do zaniepokojenia, widząc, iż powstała osobna narodowa organizacya wyborcza na Ślązku — nie uda jej się rzecz tym razem, uda się w przyszłości».

Uczciwa prasa i opinia polska nie może zajmować w tej sprawie innego stanowiska. Ale nie dosyć błogosławić tym, co doniosłą chwilę dziejową przygotowują. Trzeba iść z nimi lub przeciw nim, bo w takich chwilach historycznych, w takich starciach przełomowych niema miejsca dla platonicznie sympatyzujących widzów. Sprawa przyszłych wyborów na Górnym Ślązku nie ma już obecnie charakteru miejscowego, ale nabiera znaczenia ogólno-polskiego. Całe społeczeństwo polskie w zaborze pruskim, cały naród polski pośrednio musi się tą sprawą zająć.

W poprzednim numerze *Przeglądu wszechpolskiego* zaznaczono fakt zbiorowego a skutecznego oporu włościan z Lipowca (powiat biłgorajski) przeciw budowie szkoły cerkiewnej. Opisy podobnych faktów coraz częściej czytać można na szpaltach *Polaka*. Jest to objaw znamienny i pocieszający nie ze względu na «rewolucyonizowanie się ludu», jak mówią socyaliści, ale ze względu na budzące się w chłopie polskim poczucie swej godności i swych praw. To poczucie nawet w warstwie inteli-

gentnej niemal zupełnie zanikło w zaborze rosyjskim, a bez niego jest niemożliwa wszelka «walka i prawo», będąca właściwym rdzeniem wszelkiej akcyi politycznej.

W warunkach istniejących nie można doradzać, zwłaszcza ludowi, bezwzględnego stosowania zasady «gwałt niech się gwałtem odciska», ale trzeba powtarzać za św. Pawłem: «przetoż ręce opuszczone i kolana osłabione wznieście». Niewątpliwie walka w obronie praw i godności narodowej i osobistej z rządem rosyjskim jest zadaniem bardzo trudnem, ale musimy wyznać, że sami ospalstwem i niedołęztwem, brakiem odwagi cywilnej utrudniliśmy sobie położenie a ułatwiliśmy wrogowi posługiwanie się przemocą i bezprawiem. Sami w znacznej mierze usankcyonowaliśmy tę przemoc i to bezprawie. Było to nieuniknionem następstwem naszego osłabienia i upadku ducha.

Gdy się z tego przygnębienia obecnie dźwigać zaczynamy, niektórzy wyrażają przedwczesną, zdaniem naszem, chociaż w pewnej mierze uzasadnioną obawę, że łatwo wpaść możemy w przeciwną ostateczność.

Niewątpliwie wszelkie gwałtowne porywy byłyby szkodliwe, nie dlatego, że dać by mogły powód do represyi lub bodaj pretekst do nich, ale przedewszystkiem dlatego, że ich bezskuteczność demoralizowaćby musiała lud. Bo właściwie o lud tutaj chodzi, zarówno miejski, jak wiejski. Lud, gdy zaczyna uświadamiać sobie godność swoją ludzką i narodową i prawa swoje, łatwo się daje unieść temperamentowi, tem bardziej, że uświadamianie jego polityczne nie może odbywać się prawidłowo, że oddziaływają nań różne wpływy, między innymi takie, które go wprost do czynów nierozważnych, bo bezcelowych zachęcają.

Wszyscy więc ci, którzy z ludem bezpośrednią styczność mają, powinni raczej hamować niż podniecać wybuchy jego temperamentu, powinni budzącą się energię i świadomość kierować na właściwe tory spokojnego protestu i oporu prawnego. Taki zresztą charakter mają przeważnie fakty, o których wspominam. Ale i one, i inne, będące jakby odruchowym odporem gwałtu i bezprawia, chociaż zapewne zdarzają się obecnie częściej, są jeszcze zdarzeniami wyjątkowemi na tle powszechnego przygnębienia i powszechnej uległości.

Panowanie rosyjskie nie jest zaiste dobrą szkołą polityczną dla naszego ludu, nie może w nim wyrobić tych cennych przymiotów, jakie np. w ludzie wielkopolskim mimowolnie wyrobił

ucisk pruski. Reakcyą na przemoc barbarzyńską, nie ujętą w żadne formy prawne, przeciwnie, gwałcącą nawet te, które sama sobie zakreśla, może być najłatwiej odruch instynktowny, protest żywiołowy, innemi słowy bunt, indywidualny lub gromadzki.

W tem właśnie tkwi niebezpieczeństwo, utrzymanie bowiem ludu politycznie znieprawianego i pośrednio podniecanego przez władzę w szrankach systematycznej i celowej walki o prawo jest zadaniem bardzo trudnem. Trudnem, ale do przeprowadzenia możliwem dla ludzi, zdających sobie sprawę z tego, co robią i czujących odpowiedzialność moralną, jaka na nich ciąży.

Mówimy o tem nie dlatego, żebyśmy widzieli już dziś pewne niebezpieczeństwo w coraz częstszych objawach budzenia się świadomości obywatelskiej i poczucia godności ludzkiej i narodowej, ale właśnie dla zaznaczenia, że dotychczasowa taktyka oddziaływania politycznego na lud, w zaborze rosyjskim stosowana, jest odpowiednią i że nie należy jej zmieniać.

J. L. Jastrzębiec.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Rosyjska polityka zagraniczna i położenie wewnętrzne państwa.

W ostatnich tygodniach prasę europejską obiegło kilka pogłosek co do nowych kroków zaborczej polityki rosyjskiej. Rozeszła się wieść niedawno, że między Rosyą a Chinami stanął traktat, oddający pierwszej z nich zupełną administracyę Tybetu, a Chinom tylko prawo utrzymywania w nim konsulatów. *Ostasiatischer Lloyd*, a za nim inne pisma niemieckie ogłosiły nawet tekst tej umowy, zawierającej 14 artykułów, z których drugi gwarantował niepodległość państwa niebieskiego, a trzeci upoważniał Rosyę do interwencyi na wypadek zaburzeń w którejkolwiek prowincyi, którychby władze chińskie stłumić nie zdołały. Zdaje się, że przynajmniej w powyższej formie traktat taki nie istnieje, chociaż od lat kilku ekspedycye «naukowe» rosyjskie do Tybetu, poselstwa do Dalaj-Lamy i od niego do Petersburga wskazują, że carska dyplomacya ma zwrócony wzrok na tę rozległą krainę, która mogłaby jej

posłużyć za podstawę operacyjną zarówno przeciw Indyom, jak i przeciw Chinom południowym.

Jeszcze wieść o tem nie ucichła, gdy *Daily Mail*, a za nim inne dzienniki angielskie podniosły alarm, że gabinet petersburski w innym punkcie zagraża spokojowi Europy, mianowicie nad Bosforem i nad Dardanelami. Rosya, według tej wersyi miała dobijać się u rządu tureckiego wznowienia słynnego traktatu Unkiar Skelessi z r. 1833. Zarówno galicyjskie, jak i warszawskie pisma, komentując tę pogłoskę, zdradziły zupełną nieznajomość tej kwestyi, nie będzie więc zbytecznem dać parę słów objaśnienia, co do pochodzenia i treści tego traktatu. Rosya, stanąwszy w obronie Turcyi przeciw jej buntowniczemu wasalowi, wicekrólowi Egiptu, Mehemedowi Alemu, skłoniła sułtana do podpisania umowy, na mocy której Dardanele (nie Bosfor!) miały być zamknięte dla okrętów wojennych wszystkich państw, nie wyłączając zresztą i Rosyi. Umowa ta zawarta była tylko między Rosyą i Turcyą, czyniła więc ze sprawy cieśnin kwestyę wyłącznie rosyjsko-turecką, a że prócz tego zawierała i inne artykuły, dające Rosyi prawo mieszania się do spraw Turcyi, uznano ją powszechnie w Europie za rodzaj protektoratu pierwszej nad drugą. Interwencya francusko-angielska nie dozwoliła jednak dyplomacyi rosyjskiej utrzymać swej pozycyi w Konstantynopolu: na konferencyach europejskich w r. 1840 i 1841 zrzekła się ona prawa jedynej strażniczki cieśnin, a neutralizacya ich wraz z Bosforem została poręczona przez wszystkie mocarstwa europejskie.

W ostatnich miesiącach Rosya pod rozmaitymi pozorami usiłowała otrzymać pozwolenie na przejazd oddzielnych statków przez cieśniny; niedawno np. domagała się ambasada rosyjska przepuszczenia kilku torpedowców na tej zasadzie, że tych statków, o ile nie mają armat, nie należy uważać za statki wojenne. Prawdopodobnie te pretensye Rosyi posłużyły za grunt, na którym wyrosła pogłoska o wznowieniu dawnego traktatu, której zresztą już zaprzeczono.

Oprócz tych dwóch fałszywych alarmów — rozeszła się wieść, tym razem prawdziwa, bo potwierdzona przez rozprawy parlamentu angielskiego, że Rosya poruszyła sprawę afgańską. Zrobiła to w sposób ostrożny, niepozorny na razie, wiele jednak obiecujący na przyszłość. Jak wiadomo, posuwanie się Rosyi w Azyi centralnej omal nie wywołało w r. 1885 wojny między

Anglią a Rosyą, a zatargom granicznym, które potem powstały, położyła względny koniec dopiero konwencya zawarta między temi dwoma mocarstwami w r. 1895. Rosya dostała wtedy pewne nabytki, otrzymała «dach świata» Pamir, zobowiązała się jednak wobec Anglii nie posuwać się dalej przez Afganistan i kraju tego nie uznawać za sferę swojego wpływu. Obecnie Rosya wysłała notę do rządu angielskiego, gdzie, zupełnie lojalnie powtarzając w zasadzie swoje zobowiązania, domaga się pozwolenia rządu angielskiego na samodzielne rokowania z emirem w kwestyi uregulowania granic. Rozpoczęcie takich rokowań byłoby wyłomem w konwencyi z r. 1895, a wyłom ten późniejszemi komplikacyami możnaby rozszerzać do tego stopnia, że konwencya ta, w której wielu Anglików widzi dostateczną obronę Indyi, utraciłaby wszelkie znaczenie. Przed pięciu blizko laty Chamberlain w mowie publicznej, wskazując na złą wiarę Rosyi w sprawie Port-Arturu i Talienwanu, na złamanie obietnicy danej Anglii, ostrzegał swoich rodaków, aby niezbyt rachowali na moc obronną umów, zawieranych z tem mocarstwem. Według słów ministra kolonii, traktując z Rosyą, nie należy zapominać o przysłowiu, że, kto chce z djabłem ucztować, powinien się zaopatrzyć w długą łyżkę.

Sama obfitość wersyi co do jakichś ukrytych planów Rosyi, wietrzących jej intrygi i tajemne umowy, nasuwa wniosek, jak powszechnie oczekują, że polityka carska niezadługo zelektryzuje świat jakimś śmiałym krokiem.

W prasie rosyjskiej ukazują się raz po raz artykuły, dowodzące, że prócz dalekiego Wschodu, Rosya ma inne ważne cele swojej polityki, którymi należy zająć się energiczniej. Niedawno półurzędowy organ, *Nowoje Wremia*, rozważając zadania polityki rosyjskiej, na pierwszem miejscu postawił dotarcie do morza Śródziemnego, a więc kwestyę Konstantynopola z cieśninami. Drugie miejsce pod względem ważności zajmują sprawy środkowo-azyatyckie wraz z portem w zatoce perskiej, na trzeciem zaś dopiero leży Daleki Wschód, który pochłonął całą niemal uwagę zagranicznej polityki rosyjskiej w ostatnich latach. Tymczasem Azyą środkową zajmowano się niewiele, a bliższy Wschód porzucono niemal zupełnie, pozwalając rozszerzać Niemcom swoje wpływy tam, gdzie niepodzielnie panować powinna Rosya. Sens tego artykułu jest ten, że co prędzej

należy powetować czas stracony i odzyskać opuszczone placówki.

Możnaby zrazu przypuszczać, że ośmiela Rosyę położenie Anglii, wyczerpanej w znacznym stopniu wojną boerską i zajętej reorganizacyą swojej armii. Jeżeli jednak z tego chciała skorzystać polityka rosyjska, to bądź co bądź łatwiej było jej odważyć się na prowokacyę Anglii podczas wojny, aniżeli teraz. Prawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że gabinet petersburski zdecyduje się na energiczniejsze tempo w swej polityce zagranicznej ze względu na położenie wewnętrzne Rosyi. Przed kilku miesiącami dzienniki zagraniczne i nasze galicyjskie przynosiły alarmujące wieści z caratu i sensacyjne nowiny, po których zapanowała teraz pewna cisza. Jak na razie ludzie, nie znający Rosyi, przecenili znaczenie wypadków i skłonni byli w zamachach na ministrów i w żywiołowych ruchach chłopskich widzieć początek rewolucyi, tak teraz i ci sami, i inni mniemają, że już wszystko wróciło do dawnego stanu i że dzięki postawie rządu przesilenie minęło już zupełnie. Rzeczywiście nie przeszło ono wcale; ruch opozycyjny ogarnia szerokie koła inteligencyi miejskiej, dodaje odwagi ziemstwom, trzyma w zawieszeniu młodzież uniwersytecką, oczekującą zapowiedzianych zmian, wreszcie jako najostrzejszą broń trzyma w odwodzie terorystów, grożących inicyatorom represyi nowymi zamachami. Zarówno z pism nielegalnych rosyjskich, jak i z naocznej obserwacyi osób, które zwiedzały Rosyę ostatnimi czasy, czerpiemy informacye o panującym nastroju umysłów: powszechne jest zdanie, że dłużej tak być nie może, że muszą nastąpić jakieś zmiany. Cechą charakterystyczną położenia jest to, że ludzie przestają wierzyć w jego trwałość, w stałość systemu rządowego, a to ma bardzo ważny i natychmiastowy wpływ na postawę biurokracyi. Dla urzędników rozkazy przełożonych przestają być jedynie miarodajną wskazówką; niejeden ogląda się na to, czy sam jego zwierzchnik mocno siedzi na zajmowanem miejscu i jak może zapatrywać się na rzeczy jego następca. Biurokracya rosyjska bardzo jest wrażliwa na prądy z górnych stref i w chwilach takich, w których warunki awansu, orderów i dodatkowych pensyi uledz mogą radykalnym zmianom, pozostawiona bez busoli, traci w znacznej mierze karność i sprężystość. Na małą skalę stan ten widzieliśmy w Królestwie w pierwszym roku panowania Mikołaja, a nastę-

pnie w miodowych miesiącach rządów Imeretyńskiego. Czynownicy zrazu tracili głowy, usiłując utrafić we właściwe wymagania nowych prądów i nowych przełożonych. Obawa trwała krótko, bo rząd postarał się o to, aby w narzędzia swoje wpoić przekonanie, że nic się nie zmieni i że mniej więcej po dawnemu mogą zarabiać na ordery i awanse.

Stan niepokoju i oczekiwania demoralizuje biurokracyę rosyjską, a przywrócić jej wiarę w stałość systemu rządowego niełatwo, wobec niepewności, kto ze współzawodniczących dzisiaj ministrów pozostanie zwycięzcą. Niedawno ks. Mieszczerski, redaktor ultrakonserwatywnego *Graždanina*, wystąpił z rewelacyami co do ostatnich chwil Aleksandra III. Nieboszczyk miał pod koniec panowania dojść do przeświadczenia, że biurokracya gubi Rosyę i że obowiązkiem monarchy jest uwolnić kraj od tej klęski. Mniejsza o to, czy owe rewelacye są prawdziwe, czy nie, ale samo ich ukazanie się w organie, który dzisiaj ma znaczny wpływ, świadczy o szerzącym się fermencie i tej niepewności ogólnej, którą właśnie zaznaczyliśmy.

Dwie sprawy dzisiaj w Rosyi żywo zaprzątają opinię publiczną: sprawa reorganizacyi średniego i wyższego wykształcenia i główna rada rolnicza *(Osoboje Sowieszczanije)*, która z inicyatywy ministra Wittego i pod jego przewodnictwem ma za zadanie nakreślić plan reform, potrzebnych dla podniesienia tej najważniejszej dla Rosyi gałęzi wytwórczości i dla zaradzenia nędzy chłopów. Opinia żywo interesuje się obiema temi kwestyami, z których pierwsza najeżona jest trudnościami w państwie takiem, jak Rosya; trudności tych pokonać nie mógł generał Wannowskij i zdaje się nie podoła im i obecny minister oświaty Zenger. Co do głównej rady rolniczej, to wiele od niej oczekują, wiele żądają; wywołuje już ona ożywiony ruch ziemstw, trudno więc będzie skończyć na jakich drobnych paliatywach, gdyby zaś posunięto się daleko, to, jak to zawsze bywało w takich razach w Rosyi, obudzony ruch umysłów pchałby rząd dalej, niż ten zamierzał z początku. Co nadaje charakterystyczne znamię położeniu dzisiejszemu, to ta okoliczność, że reform w zaznaczonych powyżej dziedzinach, nie może dokonać rząd drogą czysto administracyjną przy biernej postawie narodu, lecz przeprowadzić je musi wśród atmosfery oczekiwań, zainteresowania ogólnego, a nawet pewnych nie wypowiadanych wprawdzie, ale odczuwanych układów.

Powtarzamy, że wbrew zapowiedziom pism nielegalnych rosyjskich w blizkość rewolucyi w caracie nie wierzymy. Ale stan taki, jak obecnie, z roku na rok pogarszać musi położenie rządu, osłabiać autorytet władzy i rozprzęgać samą administracyę państwową, nadto zaś wytwarza grunt bardzo podatny do wzrostu elementów opozycyjnych.

Można przeciwdziałać temu, decydując się na szereg reform, nie zmieniających zasadniczo formy rządu, lecz opartych na potrzebach żywo odczuwanych w społeczeństwie, — rzecz to możebna, ale niezwykle ryzykowna. Wszak reformy Aleksandra II miały tę myśl zasadniczą, lecz późniejsze wypadki udowodniły, że instytucyom, przez nie stworzonym, zaciasno jest w więziennym gmachu carskiego absolutyzmu. Usunięto z nich to, co nie zgadzało się z duchem policyjno-despotycznego państwa, i po takiej redukcyi nie wiele z nich pozostało. Dziś rzeczy stoją tak, że rząd wie, iż daleko idące reformy wywołują dalej jeszcze idące żądania, a społeczeństwo, a raczej jego najlepiej wyrobione koła wiedzą, że reforma, przeprowadzana przez rząd absolutny, ma wartość bardzo względną, bo przy sposobności ustępstwa można cofnąć i powrócić do *status quo*.

Można jeszcze wobec wznoszenia się fali opozycyjnej użyć środka, którego niejednokrotnie używały rządy wśród trudności wewnętrznych — można odwrócić uwagę narodu od kwestyi wewnętrznych i skierować ją ku zewnętrznym. Wymaga to czynnej, przedsiębiorczej polityki zagranicznej i zdobyczy terytoryalnych, które podniosłyby powagę rządu, kazały zapomnieć o palących kwestyach wewnętrznych i dały nowy upust dla wylewającej się po brzegi masy czynowników, którym dotychczasowe posiadłości cara dobrych miejsc nastarczyć nie mogą.

Kto wie zatem, czy Rosya w najbliższym czasie nie wystąpi z jakąś niespodzianką i czy którakolwiek z pogłosek o jej zamiarach zaborczych nie okaże się prawdą. Przed kilku dniami wysłana została dla wzmocnienia sił morskich Oceanu Spokojnego nowa eskadra rosyjska, złożona z najnowszych statków, które niedawno opuściły warsztaty okrętowe. Współcześnie parlament japoński otrzymał projekt powiększenia floty, a angielski sekretarz stanu dla Indyi zapowiedział, że trzeba będzie wzmocnić armię indyjską. Nieinaczej i w Europie, gdzie nawet

w Austryi, targanej trudnościami wewnętrznemi, rząd chce przeprowadzić znaczne pomnożenie sił lądowych.

Nie zbywa i na źródłach komplikacyi, na iskrach, mogących wzniecić pożar. Sam półwysep Bałkański z zaburzeniami macedońskiemi mógłby dostarczyć dość obaw dla dyplomatów, a prócz niego jest dość innych punktów niebezpiecznych. Ostatnie np. depesze przynoszą wiadomość o przygotowującem się powstaniu przeciw emirowi Afganistanu.

Dnia 9 listopada premier obecny Wielkiej Brytanii, Balfour, miał doroczną mowę polityczną. Podnosił w niej mówca dobre stosunki, jakie łączą obecnie wszystkie wielkie mocarstwa i są rękojmią długotrwałego pokoju.

Te wywody kompetentnego mówcy zaopatruje jednak *Spectator*, jeden z najpoważniejszych organów prasy angielskiej, pesymistyczną uwagą. Mowa Balfoura przypomina, zdaniem rzeczonego pisma, mowę lorda Granville'a z r. 1869. Granville zaręczał, że Europa na długie lata nie potrzebuje obawiać się wojny. W osiem miesięcy później wybuchła wojna Niemiec z Francyą. Zdaje się — powiada pismo angielskie — że i teraz nadchodzi epoka błyskawicznych wydarzeń i nagłych niespodzianek.

S. Ko—wicz.

LISTY WARSZAWSKIE.

Warszawa 23 listopada.

Wystawa wszechsłowiańska. Pochodzenie projektu i organizacya komitetu. Charakter rosyjsko-słowiański. Komitet warszawski. Stan opinii.

Porządek dzienny naszego niby-publicznego życia wypełnia dziś wystawa wszechsłowiańska. Wszędzie, gdzie tylko ludzie interesują się sprawami politycznemi, o niej się mówi, a przyznać trzeba, że naogół opinia bardzo się zdrowo na tę sprawę zapatruje. Słuchając namiętnych często dyskusyi nad tem, czy brać udział w wystawie, czy nie, otrzymuje się wrażenie, że pomimo ucisku, pomimo braku życia publicznego i zdemoralizowania prasy przez cenzurę, myśl polityczna lepszej, więcej myślącej części naszego inteligentnego ogółu dojrzewa powoli, mężnieje, nabiera pewnej samoistności i równowagi. Może to wrażenie ułudne, może pochodzi ono stąd, że się chętnie przyznaje

zalety umysłowe tym, co sympatyczne nam poglądy głoszą, ale gdyby postęp w tym kierunku się odbywał, inaczejby się przedstawiała cała nasza przyszłość polityczna w tej dzielnicy.

Wróćmy jednak do samej wystawy.

Projekt jej podobno się zrodził w głowie pani Ignatjewowej. Zarobiwszy sporo na wystawie przemysłu domowego Słowian południowych, którą urządzała w roku zeszłym, dama ta postanowiła spróbować szczęścia w szerszem przedsiębiorstwie. Gdy sprawę przedstawiono członkom komitetu osławionego Słowiańskiego Towarzystwa Dobroczynności, myśl im się bardzo podobała i postanowili ją zużytkować do swoich celów. Ignatjew pozyskał dla wystawy Wittego, sprawa wszakże, ze względu na swój charakter, poddana została decyzyi ministra spraw zagranicznych, hr. Lamsdorfa, który się do projektu przychylił pod dwoma warunkami: 1) że się utworzy osobny komitet ze znanych słowianofilów, który wystąpi z inicyatywą wystawy, i że skompromitowany za granicą swemi intrygami panslawistycznemi Ignatjew udziału w nim nie weźmie; 2) że wystawa będzie miała charakter prywatny, że rządy państewek słowiańskich nie będą zapraszane, ale komitet zwróci się do ludów. Warunki te są łatwo zrozumiałe: idzie o to, żeby módz prowadzić akcyę po za plecami rządów, zwłaszcza austryacko-węgierskiego, a następnie, żeby «wystawieni» Słowianie czuli, iż mają jeden rząd tylko, rząd rosyjski, który, jeżeli dziś nad nimi faktycznie nie panuje, to w przyszłości panować będzie. Będzie to więc wystawa w rodzaju kolonialnych: państwo gromadzi u siebie produkty swych posiadłości i krajów, stanowiących sferę jego wpływu, jego *hinterland;* Rosya występuje, jako metropolia, a pod jej skrzydłami opiekuńczymi mają wystawić swe produkty przyszli jej Kafrowie i Hotentoci — Bułgarzy, Serbowie, Chorwaci, Słowieńcy, Słowacy, Czesi... Łaskawie się zaprasza do tego towarzystwa i Polaków. Gdyby rządy bułgarski i serbski miały więcej poczucia swej godności i więcej niezależności od Rosyi, z pewnością zajęłyby wrogie stanowisko względem tej zabawy.

Zawiązany w Petersburgu komitet przyjął na posiedzeniu 23 maja (st. st.) r. b. «Ustawę Wszechsłowiańskiej Wystawy artystyczno-przemysłowej w Petersburgu w r. 1904», z której przytaczamy pierwsze dwa punkty:

«I. Za Najwyższem zezwoleniem Jego Cesarskiej Mości,

pod Wysokim protektoratem Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Aleksandra Michajłowicza, Słowiańskie Towarzystwo Dobroczynności w Petersburgu, przy udziale Towarzystwa Popierania rosyjskiego przemysłu i handlu, urządza w Petersburgu, w r. 1904, Wszechsłowiańską Wystawę artystyczno-przemysłową.

«II. Wystawa ma na celu przyczynić się do ustalenia stosunków bezpośrednich i wymiany handlowo-przemysłowej między Rosyanami a pokrewnymi im mieszkańcami innych krajów».

Tu odrazu wyraźnie powiedziano, że wystawa nie będzie międzysłowiańską, ale rosyjsko-słowiańską, jeżeli się można tak wyrazić — rusocentryczną.

Honorowym prezesem wystawy został towarzysz ministra finansów, p. Kowalewskij. Pomimo że wystawa ma mieć jakoby charakter prywatny, rząd wyasygnował na pierwsze koszta 90 tys. rubli, prawdopodobnie między innemi na wzmocnienie uczuć słowiańskich, gdzie potrzeba, a na miejsce wystawy wybrano pałac Taurydzki (obecnie teren wystawy rozszerzono na park Taurydzki, w którym mają być zbudowane pawilony wystawowe).

Główny komisarz wystawy, pan K. Nikołajewskij, już zdążył podać do wiadomości, że z braku miejsca charakter przemysłowy wystawy będzie ograniczony, przyczem za pośrednictwem urzędowego *Warsz. Dniewnika* dowiedzieliśmy się, że Czesi i Polacy zakordonowi (?! *aut.*) zamówili wiele miejsca. Znaczyłoby to, że program przemysłowy był rzucony tylko na przynętę, że wystawa, jak to przepowiadaliśmy, będzie miała charakter kulturalno-polityczny i że z drugiej strony ktoś zamawia miejsca na niej dla Polaków zakordonowych bez wiedzy społeczeństwa polskiego!

Tak się przedstawia rzecz w Petersburgu. Przechodzimy do Warszawy.

Komitet wystawy zwrócił się do hr. Tyszkiewicza, prezesa warszawskiego Oddziału Towarzystwa Popierania rosyjskiego przemysłu i handlu (tak brzmi oficyalny tytuł towarzystwa), z propozycyą zorganizowania komitetu warszawskiego, mającego powołać do życia organizacyę wystawową we wszystkich ziemiach polskich. Tu trzeba dodać, że petersburski komitet wystawy podobno przyjął za zasadę korespondować z każ-

dym krajem słowiańskim w jego języku, ale do Warszawy pisze wyłącznie po moskiewsku.

Hr. Tyszkiewicz zgodził się działać w tej sprawie, w charakterze prezesa Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, o ile znajdzie poparcie w kołach społeczeństwa. Jednocześnie z Petersburga zaproszono na członków komitetu pp. Hr. Adama Krasińskiego, ordynata, wydawcę *Biblioteki warszawskiej*, Karola Benniego, wiceprezesa Towarzystwa zachęty do sztuk pięknych (prezesem z urzędu jest zawsze kurator okręgu naukowego), Ludwika i Franciszka Górskich, ks. Macieja Radziwiłła, hr. Władysława Wielopolskiego i hr. Feliksa Czackiego.

Tak uformowany komitet zaprosił do swego grona jeszcze kilka osób według przysługującego mu prawa.

Należy dodać, iż według ustawy wszyscy wystawcy poddani rosyjscy, a więc wszyscy z Królestwa, muszą zwracać się do komitetu petersburskiego, który o ich przyjęciu będzie decydował. Rola tedy komitetu warszawskiego sprowadza się głównie do pozyskania dla wystawy — Polski zakordonowej.

Stanowisko nasze wobec tej wystawy jest jasne. Nie nasze to posłannictwo pomagać Rosyi do zapuszczania korzeni w Słowiańszczyźnie, do rozpościerania sieci swych intryg w państwie austryackiem, ani tem bardziej wytwarzać ciążenia ku niej śród naszych rodaków zakordonowych. Żaden interes nie dyktuje nam udziału w wystawie, mającej charakter kulturalno-polityczny (przemysłowy dział się usuwa, a jeżeli go przywrócą, to tylko dla zwabienia wahających się), na której z naszej strony będziemy mogli pokazać tylko to, co rząd carski chce pokazać światu i innym Słowianom. Zwykłe wreszcie poczucie godności narodowej wskazuje nam, że dla nas, ciemiężonych przez rząd carski, deptanych na każdym kroku, dla narodu wielkiego z historyczną przeszłością, dla rywala Rosyi wobec słowiańszczyzny, nie miejsce wśród tej trzody rublobiorczych chwalców carstwa, dobrowolnie uznających nad sobą wyższość i przewagę Rosyi.

Nietylkośmy powinni odpowiedzieć milczeniem na zaprosiny, ale nawet dołożyć wszelkich starań, żeby nikt z naszych rodaków zakordonowych, nie znających Rosyi, nie dał się skusić do udziału.

Ogromnej trzeba naiwności politycznej, ażeby, widząc, jak konsekwentna jest od lat wielu polityka rosyjska względem na-

szego narodu, jak rząd carski przy wszelkich możliwych sposobnościach stara się obniżyć naszą wartość cywilizacyjną i polityczną nazewnątrz, jak za jego sprawą fałszowane są fakty i cyfry nas dotyczące, łudzić się dziś, iż tenże rząd pozwoli na wystawie w Petersburgu wystąpić tak, aby oślepieni blaskiem Rosyi kuzyni słowiańscy mogli się zoryentować, co nasza kultura warta, co dla niej robimy, a czego robić nie możemy z powodu przeszkód stawianych nam przez wrogów, przedewszystkiem zaś przez samą «opiekunkę» Słowian — Rosyę. Prędzejby można uwierzyć w możliwość jakiegoś poważnego ustępstwa politycznego nawewnątrz, bo onoby mogło być wywołane realną potrzebą polityczną — a przecie wszelkie w tym kierunku nadzieje okazały się naiwnemi złudzeniami. Coby mogło skłonić Rosyę, ażeby prowadząc względem nas nieubłaganą politykę ucisku i wynaradawiania, politykę mającą za jeden z głównych celów zmniejszenie naszego znaczenia w świecie słowiańskim, naraz pomagać nam w kokietowaniu kulturą polską innych ludów słowiańskich?... Poprostu trzebaby przypuścić, że u steru polityki rosyjskiej znaleźli się ludzie niepoczytalni. A jednak mamy w Warszawie ludzi inteligentnych, którzy, zachęcając innych do udziału w wystawie, dodają: «gdybym widział, że nie będziemy mogli tam wystąpić, jak chcemy, że nie pozwolą nam wykazać naszej istotnej wartości cywilizacyjnej, natychmiastbym się cofnął!»

Myśmy Rosyi potrzebni w Petersburgu. Potrzebniśmy do tego, żeby pokazać światu, iż wszyscy bez wyjątku Słowianie garną się pod jej opiekę, że jedni Polacy są zadowoleni z jej panowania, inni zaś chcieliby się pod nie dostać, że ta część Polski, która jest pod panowaniem rosyjskiem, zyskuje na tem cywilizacyjnie — bo przecie, umiejętnie kierując wystawą, można wszelki rezultat wykazać. Potrzebniśmy tam Rosyi, bo nasza nieobecność odejmie wystawie prawo nazywania się wszechsłowiańską.

Dlatego zapraszają nas bardzo uprzejmie, odwołując się nawet do naszego patryotyzmu, jak to zrobił pono wice-minister Kowalewskij w liście do jednego z zaproszonych. Ta uprzejmość nas ujmuje. My możemy się nie poznać na grzeczności tych, co zawsze są dla nas grzeczni, ale gdy ten, co nas zawsze bije i w twarz nam pluje, raz potraktuje nas grzecznie, wtedy napewno nas ujmie. Rozumiemy np. człowieka, któ-

remu raz żonę aresztowano za to, że w tramwaju nie pozwoliła oficerowi żandarmów puszczać sobie dymu od papierosa w oczy, którego później we własnej osobie wsadzono do kozy za to, że studentom polskim odradzał urządzania rozruchów dla zaznaczenia solidarności z rosyjskimi: gdy dziś tenże człowiek czyta uprzejme listy dygnitarzy moskiewskich, zapraszające do udziału w wystawie, czyż można się dziwić, słysząc go mówiącego: «jakże nie iść, gdy tak uprzejmie proszą?» Mogliby kazać, zagrozić wsadzeniem jeszcze raz do kozy, a oni proszą, i do tego bardzo uprzejmie! Podobno uprzejmość ma być posunięta do tego stopnia, że obok rosyjskich wolno będzie i polskie napisy na wystawie umieszczać. Polskie napisy w Petersburgu! Czyż to nie wzruszające? W Wilnie, tak blizko, nie wolno, a w Petersburgu pozwolą. Czyż można się wobec tego wahać?...

Komitet warszawski ma powołać do udziału w wystawie Galicyę i Poznańskie. Powinien się zapytać w Petersburgu, czy i Litwę także? Wtedy się dowie, że uprzejmość organizatorów wystawy ma swoje granice, dowie się, że to nie «cała Polska» ma być reprezentowana, jak się dla zachęcenia ludzi głosi.

To nie wystawa Krajów Zabranych, ale krajów, które pozostają do zabrania!

O ile można sądzić z dyskusyi dotychczasowych, opinia nasza w Warszawie zdaje sobie dobrze sprawę z charakteru wystawy i naszemu w niej udziałowi jest stanowczo przeciwna.

Niektórzy zwolennicy wystawy argumentują, że do udziału w wystawie jesteśmy poniekąd przez rząd zmuszeni, więc kiedy już wystąpimy, to trzeba pokazać się jak najświetniej. Na to dziś jest odpowiedź: ponieważ wobec usposobienia opinii szeroki udział z naszej strony i świetne wystąpienie jest niemożliwe, więc lepiej wcale nie występować. Niech rząd sam zawiąże komitet wystawowy i niech sprobuje zorganizować wystawę bez udziału społeczeństwa!

Dodać należy na ostatek jedno. Osobistości, znane z moskalofilstwa oraz gorliwości wiernopoddańczej, o wystawie milczą, nigdzie się nie pokazują i nie bronią sympatycznej sobie sprawy. Widoczna jest konspiracya: idzie o to, żeby nie zrażać opinii skompromitowanemi figurami, ale przeciwnie zachęcić ją przez wysunięcie paru uczciwych nazwisk, które dały się złowić. *Sapienti sat.*

Ignotus.

UWAGI.

Poruszona w korespondencyi warszawskiej sprawa projektowanej wystawy wszechsłowiańskiej w Petersburgu musi z konieczności przyjść na porządek dzienny dyskusyi ogólnej i w dwóch pozostałych dzielnicach. Zdaje się, że w Warszawie powszechnie zrozumiano, iż sprawę tę trzeba załatwić zgodnie z głosem opinii, że zatem przed zrobieniem jakiegokolwiek kroku stanowczego trzeba tę opinię wyrozumieć. Udział nasz w wystawie byłby aktem polityki zewnętrznej naszego społeczeństwa, polityki, prowadzonej w innych krajach przez reprezentujące naród rządy, u nas zaś w braku własnego państwa i rządu trzeba słuchać w takich razach rządu moralnego czyli opinii. Wolno wypowiadać się za udziałem w wystawie każdemu, kto uważa go za pożyteczny, wolno przytaczać wszelkie argumenty na poparcie swego zdania, ale wszelki krok decydujący, wszelkie zaciąganie zobowiązań względem komitetu petersburskiego na swoją rękę, czy to ze strony jednostek, czy grup, czy choćby nawet całej jednej dzielnicy — o czem zresztą mowy być nie może — byłoby czynem antynarodowym. Naród, który nie zatracił instynktu samozachowawczego, nie może pozwolić na to, ażeby wystąpienia jego nazewnątrz zależały od przypadku, od tego, czy się znajdzie mniejsza lub większa grupa ludzi, którym się podoba w jego imieniu tak lub inaczej angażować. Sprawa jest ogólno-polską, to więc zrobić trzeba, czego przeważająca opinia na całym obszarze Polski zażąda. Opinia ta chyba będzie zdolna napiętnować tego, ktoby w danym razie chciał robić swoją politykę, mniejsza o to, czy wysnutą z partykularnego interesu, czy z doktryny.

* * *

Walka o wykład religii katolickiej w języku ojczystym w gimnazyach Królestwa uwieńczona będzie, jak się zdaje, pomyślnym skutkiem. Jak nam donoszą (patrz: Kronika), w Zamościu i Chełmie rosyjski wykład religii odbywać się nie będzie z powodu podania się do dymisyi katechetów i braku innych na ich miejsce, ponieważ zaś już poprzednio rząd z tejże przyczyny zmuszony został do przerwania wykładu religii w Siedlcach i Białej, przeto pozostaje jedno progimnazyum w Hrubieszowie, gdzie katecheta prawdopodobnie też będzie musiał ustąpić pod naciskiem opinii. Tym sposobem wykład religii w pięciu szkołach ustanie, a ponieważ anomalia ta długo nie będzie możliwa, rząd będzie się musiał zdecydować na uznanie języka polskiego.

Jeżeli taki będzie rezultat, społeczeństwo nasze będzie miało wyraźny przykład, jak się osiąga zdobycze narodowe przez stanowcze domaganie się tego, co się nam należy. Może też, przy tej sposobności, ci, których groza przejmuje na sam dźwięk wyrazu «ofiary», zrozumieją, że straty osobiste nie są jeszcze narodowemi, że tylko kosztem ofiar ze strony tych, co się do nich poczuwają, naród może byt swój poprawić.

Młodzież Siedlec i Białej oraz jej ojcowie będą mieli piękną kartę w naszych szarych dziejach doby obecnej.

* * *

Ukazała się świeżo obszerna broszura p. t. «Nasza młodzież» p. Scriptora, mająca być pierwszą w szeregu podobnych wydawnictw politycznych. Skierowana jest ona głównie przeciw młodzieży, skłaniającej się ku naszemu kierunkowi politycznemu, oraz przeciw samemu kierunkowi, a wyszła niewątpliwie z kółka, grupującego się koło petersburskiego *Kraju*. Zdaje się, iż ta grupa działaczy, po nieudanych próbach skierowania myśli politycznej polskiej na obrane przez siebie tory, postanowiła obecnie zająć się głębszem zbadaniem przyczyn swoich niepowodzeń i zapoznać z niemi społeczeństwo na drodze jedynie możliwej, t. j. w wydawnictwie wolnem od cenzury rosyjskiej. Przedsięwzięciu temu tylko przyklasnąć można, bo nauka nigdy nie idzie w las, o ile zaś zostało dobrze rozpoczęte, wykażemy to w najbliższym numerze. W każdym razie mamy przed sobą obszerną ocenę postępowania młodzieży, opartą na dość obfitym materyale i wychodzącą z punktu odmiennego od tych, do których sama młodzież przywykła. To też, zanim zajmiemy się bliższym rozbiorem wypracowania p. Scriptora, polecamy je uwadze naszej młodzieży. Sądzimy, iż w każdem jej stowarzyszeniu rzecz ta powinna być przedyskutowana.

* * *

W Londynie zawiązało się «Literacko-artystyczne Towarzystwo Przyjaciół Polski» *(The Philo-Polish Society of Literature and Art)*, które w ciągu najbliższych kilku tygodni ostatecznie się ukonstytuuje. Prezesem jego jest p. William Gibson, członek starej rodziny szkockiej i jeden z głównych przedstawicieli ruchu odrodzenia celtyckiego w W. Brytanii, sekretarzem zaś znany naszej czytającej publiczności pisarz, od dwudziestu kilku lat mieszkający w Anglii, p. Edmund Naganowski, nawiasem mówiąc, jedyny Polak w składzie towarzystwa.

Celem towarzystwa jest «połączenie w jedno ciało przyjaciół podzielonej Polski, pragnących jej dobra i życzących sobie zapoznać się z życiem narodowem polskiem». Trzymając się po za granicami działalności politycznej, towarzystwo «protestować będzie przeciw systematecznemu prześladowaniu i uciskowi narodu polskiego», zapoznawać społeczeństwo angielskie «z wytworami polskiej kultury umysłowej», prostować fałsze, rozsiewane w Anglii o Polsce przez jej wrogów i t. d., działając drogą odczytów, dyskusyi, artykułów w prasie i wystaw.

Roczna wkładka członka towarzystwa wynosi 1 gwineę (21 szylingów).

W społeczeństwie angielskiem instytucye i stowarzyszenia zwykle powstają nie po to, żeby wkrótce upaść, dla narodu zaś naszego, o którym tak mało wiedzą na zachodzie i o którym krąży tyle umyślnie rozsiewanych fałszów, stowarzyszenie angielskie z powyżej zakreślonymi celami będzie miało doniosłe znaczenie. Nietylko więc powinniśmy je sympatycznie powitać, ale starać się o to, by miało ono jak najbliższy związek z naszym krajem, by bez trudu zdobywało odpowiednio obfity materyał informacyjny, ma się rozumieć, w sprawach, mogących interesować społeczeństwo obce» w szczególności zaś angielskie.

(Adres sekretarza Towarzystwa: 72, Burghley Road, London N. W.).

* * *

Zamiejscowego członka redakcyi naszego pisma, p. Jana Popławskiego, warszawska *Prawda* zaszczyciła w ostatnim numerze artykułem, podpisanym przez literata tamtejszego, p. Andrzeja Niemojewskiego. Mając pewność, że p. Popławski odpowiadać nie zechce, pozwalamy sobie bez porozumienia się z nim powiedzieć, co o tym występie sądzimy.

Przedewszystkiem co do umysłowej wartości artykuliku. «Człowiekiem-gąbką» nazywa się w nim Popławski, bo, przechodząc z jednego otoczenia w drugie, przesiąkał jakoby myślą każdego, zmieniając nieustannie poglądy. Tu zgodzimy się, że wydać taki sąd ma prawo człowiek, który, jak p. Niemojewski, zachował wiernie poglądy, którymi przesiąkł podczas pobytu w czwartej klasie, i który dla utrudnienia zmian nawet postarał się pozostać na tym samym poziomie wiedzy. Wszak prasa nasza miewa często sposobność zajmowania się dowodami jego pretensyonalnego nieuctwa.

Nie dziwimy się, że człowiek z ustrojem umysłowym p. Niemojewskiego nie może zrozumieć, iż Popławski w znacznej mierze nie wpadał w otoczenie, ale sam tworzył je sobie, że, jeżeli utrzymywał żywe czucie z otoczeniem i brał z niego to, co każdy realny polityk i publicysta brać musi, to otoczenie niemniej czerpało z jego twórczości umysłowej: p. Niemojewski nie wie, że Popławski był duszą *Głosu*, że on nadał temu pismu kierunek ludowy i barwę wybitnie narodową, że on był głównym twórcą tego, co nazwano antysemityzmem *Głosu*, że dziś wśród kierowników wszechpolskiego ruchu demokratyczno-narodowego nikt nie zapomina, jak wiele ten prąd twórczej myśli Popławskiego zawdzięcza, i nie wątpi, że długo zawdzięczać będzie. Zmiany zasad, które się ludziom ograniczonym tak wielkiemi wydają, są tylko logiczną ewolucyą poglądu na społeczeństwo, jego potrzeby i zadania, u człowieka, który ciągle obserwował, działał a nigdy nie przestawał myśleć. To nie zmiany gwałtowne, ale raczej uzupełnienia, i ten «kameleon» nigdy nie napisał «Wskazań politycznych» i nie musiał się swych zdań wypierać, jak p. Świętochowski, którego rachunki z Popławskim p. Niemojewski zdaje się obok swoich załatwiać.

Teraz parę słów o stronie moralnej. Nikt z ludzi dojrzałych umysłowo i moralnie nie wątpił, że w osobie p. Niemojewskiego ma do czynienia ze smarkaczem moralnym, pnącym się do roli tytana; każdemu też, znającemu stosunki, jest wiadomem, że *Prawda* warszawska opiera się na żywiołach, nie należących właściwie do naszego społeczeństwa, że zatem z opinią polską niebardzo się musi liczyć; niemniej przeto fakt tak zuchwałej napaści, tak bezczelnego obrzucenia błotem człowieka, który swe życie, swe niepospolite zdolności i rozległą wiedzę poświęcił pracy publicznej, pracy, której przyświecało nie upodobanie w pewnych doktrynach, ale głęboka miłość własnego społeczeństwa, który nic nigdy nie zrobił dla rozgłosu, ani dla zysku, który nie ustał w tej pracy pomimo niezwykłych dziś ofiar, jakie w niej poniósł — fakt ten świadczy o czemś gorszem, niż zanik zmysłu moralnego u człowieka, co się napaści dopuścił. Gdyby nie rozbicie opinii w pewnych sferach warszawskiego ogółu, nawet tak nieodpowiedzialny człowiek, jak p. Niemojewski, nie zdobyłby się na odwagę podobnego wystąpienia.

KRONIKA.

ZABÓR ROSYJSKI.

== Kuratoryum trzeźwości w Łodzi chyli się ku upadkowi. Polacy z początku dźwigali instytucyę i postawili ją świetnie. Zajęto się utworzeniem stałej sceny ludowej; w lecie, co święto, urządzano wielkie, urozmaicone zabawy ogrodowe, założono rodzaj klubu gimnastycznego i t p. Odkąd jednak ludzie, poznawszy właściwy cel instytucyi, usunęli się społem z kuratoryum, osamotnieni czynownicy okazali się zbyt słabymi, aby na własną rękę z hasłem już otwarcie rusyfikacyjnem prowadzić instytucyę. Dziś działalność kuratoryum łódzkiego ogranicza się na wyłącznej wegetacyi kilku herbaciarni, z których korzystają przeważnie żydzi.

Niezbyt lepiej powiodło się kuratoryum trzeźwości w Łomży, gdzie w roku zeszłym okazał się wielki niedobór w kasie tej instytucyi, sięgający sumy 15.000 rubli.

= Rząd rosyjski, zaczyna uważać straże ogniowe ochotnicze za instytucye zupełnie niepożądane. Ostatnie rozporządzenia w tej sprawie, na propozycyę gubernatorów, mają też wypaść w ten sposób, że naczelnicy oddziałów naznaczani będą z ramienia rządu i czynności te spełniać mają policmajstrzy. Tymczasem zaś, uznając niebezpieczeństwo w stowarzyszaniu się ochotników strażackich, polecono w Łodzi otworzyć oddział miejski, wzorowany na straży ogniowej w Warszawie. Na razie zezwolono jeszcze istnieć łódzkiej straży ochotniczej (dodajmy, straży wybornie wyćwiczonej i posiadającej również swoją stałą, płatną służbę), ale istnienie jej nie będzie już zapewne długie.

= Ostatnimi czasy zbudowano w Łodzi gmach pod gimnazyum żeńskie. Pomimo szczupłego pomieszczenia całą środkową część frontu przeznaczono na cerkiew, choć uczennic prawosławnych w gimnazyum jest zaledwie kilka, a cerkwi wogóle Łódź posiada więcej, niżli wszystkich innych świątyń, razem wziętych.

= Do nowych prób rusyfikacyjnych systemu dzisiejszego zaliczyć należy usankcyonowanie przez rząd «taniej pomocy lekarskiej» w gub. płockiej. Instytucya ta, zaprowadzona tytułem próby, obecnie na mocy oficyalnego powiadomienia rządu gubernialnego ma w dalszym ciągu już stale spełniać swe przeznaczenie «humanitarne». Gdybyśmy nie byli przyzwyczajeni do podobnych faktów, dziwilibyśmy się, że prasa warszawska zgodnie z *Warszawskim Dniewnikiem* wydaje życzliwe okrzyki nad wspaniałem zapoczątkowaniem gubernatora płockiego Janowicza. W istocie nie można mieć wątpliwości co do właściwych tendencyi «taniej pomocy». Do prowizorycznie pozakładanych ambulatoryów w miasteczkach wprowadzono prawosławne zakonnice z «Czerwonego krzyża»; na lekarzy w znacznej części powołano Rosyan, a w braku ich kontentowano się i żydami rosyjskimi; sprowadzono akuszerki Rosyanki, które przez styczność z ludem miały bezpośrednio zaszczepiać język i dążenia rosyjskie. Jeżeli dodamy i to jeszcze, że na rzecz «pomocy» ściągano podatek wcale pokaźny, bo: od włościan i obywateli po 11% od czynszu gruntowego, od posiadaczy miejskich po 20% od podatku podymnego, od kupców po 10% od opłat gildyjnych i świadectw handlowych, że dla polskich lekarzy, praktykujących w mniejszych miasteczkach, rosyjscy «czynownicy» taniej pomocy wytwarzają niebezpieczną konkurencyę — łudzić się dłużej co do znaczenia dla nas tej instytucyi nie można.

Takaż sama instytucya powstaje w gubernii łomżyńskiej, nawet ma mieć program jeszcze szerzej zakreślony. Roczne utrzymanie łomżyńskiej «pomocy» sięgać ma 95.000 rs., na którą to sumę oczywiście złożyć się muszą nowe opodatkowania gruntów i przedsiębiorstw.

= *Nowoje Wremia* donosi, że petersburski sąd okręgowy skazał dziekana i proboszcza parafii św. Stanisława, ks. Czeczotta, na usunięcie z zajmowanego stanowiska za to, że w r. 1897 udzielił ślubu włościaninowi Naumczykowi, katolikowi, z włościanką Łapcikówną, prawosławną,

i że rok przedtem ochrzcił dziecię nieślubne tej włościanki.

= Z gubernii lubelskiej donoszą nam, że włościanin Jan Koperski, wbrew swojej woli zaliczony do rzędu prawosławnych, pragnąc wziąć ślub w kościele katolickim, złożył księdzu świadectwo, na którem wyraz «prawosławnego» został wyskrobany i zamieniony na «rz.-katolickiego». W parę miesięcy po ślubie sprawa się wydała i, jak donosi urzędowy organ gubernii lubelskiej, Koperski skazany został na rok jeden do rot aresztanckich.

= Dzienniki urzędowe ogłaszają dymisyę gubernatora kaliskiego Daragana. Wezwano go do senatu z pozostawieniem w godności koniuszego dworu. Wiadomość ta w społeczeństwie polskiem rozmaicie będzie komentowana. Daragan był «liberalny», brał udział w życiu towarzyskiem Kalisza, starał się o upiększenie miasta, pozwalał nawet na polskie napisy (obok rosyjskich) na drogowskazach i t. p. Był to przebiegły polityk w stylu Imeretyńskiego; bywał w Poznaniu i tam mówił po polsku, a jednocześnie podejmował w Kaliszu urzędowe osoby niemieckie z Poznania. Tak obałamucał warstwy oświecone w Kaliszu wraz z prasą w postaci miejscowej gazety, że Kalisz w ostatnich czasach jako lokalne ognisko życia narodowego przedstawiał obraz zupełnego spustoszenia.

= Przed kilkunastu laty popi, chcąc powiększyć skromną liczbę owieczek «prawowiernie chrześcijańskich» w Łodzi, pozyskali od rządu znaczny fundusz na wynajmowanie apostołów prawosławia. Najgorliwszym okazał się Czech, Matjatko, nożownik i puszkarz z zawodu, który za oznaczone z góry honoraryum (podobno po 100 rubli od «sztuki») nawracał dość licznie osiedlonych tu swych współziomków. Czesi, uwierzywszy obietnicom, iż za wstawieniem się popów porobią wielkie «karyery» w fabrykach łódzkich, szli na lep obietnic apostolskich; gremialnie zapisywali się do cerkwi prawosławnej. Kiedy jednak, po długiem wyczekiwaniu, przekonali się o całym fałszu złudnych przyrzeczeń, chcą się oderwać obecnie od cerkwi.

= Mianowanie ks. biskupa Zwierowicza, zesłanego za znany okólnik do Tweru, biskupem sandomierskim jest już faktem dokonanym. Instalacya ma nastąpić w najbliższym czasie. Przytem wskazano mu drogę z miejsca przez Moskwę do Warszawy, gdyż chciano zapobiedz przejazdowi biskupa przez Wilno z obawy manifestacyi ze strony miejscowej ludności.

= Donosiliśmy już, że prefekci w Białej i w Siedlcach podali się do dymisyi, nie chcąc wykładać po rosyjsku; wytrwalszym od nich na skrupuły moralne okazał się ks. Delikat, prefekt progimnazyów męskiego i żeńskiego w Zamościu, który wbrew opinii na stanowisku pozostał. Nie na długo wszakże, donoszą nam bowiem, że wobec oporu swoich uczennic, których ani groźby, ani prośby z jego strony nie mogły skłonić do nauki religii po rosyjsku, ks. Delikat podał się do dymisyi.

W Chełmie prefekt ks. Witkowski z początkiem roku wyjechał na kuracyę do Warszawy. Po powrocie ma się podać do dymisyi dla braku zdrowia. Obecnie więc z wyjątkiem Hrubieszowa, gdzie ks. Grabowicz trwa na stanowisku, nigdzie w Królestwie niema wykładu religii po rosyjsku.

ZABÓR AUSTRYACKI.

= Przy wyborach do sejmu śląskiego z trzech kandydatów narodowych w Księstwie Cieszyńskiem utrzymało się tylko dwóch: Cieńciała i Michejda, ks. Józef Londzin zaś, którego kandydaturę wysunięto w ostatniej chwili po zgonie ks. Świeżego, otrzymał tylko 136 głosów, t. j. o 25 mniej, niż było potrzeba, aby mieć większość. Stratę tę zawdzięczamy zdradzie ze strony Czechów cieszyńskich.

= Starszy prokurator gnieźnieński usiłuje wprost rozszerzyć swą władzę śledczą nad Polakami nawet w Galicyi i, co dziwniejsza, znajduje w tem pomoc władz miejscowych. Mianowicie jednemu z Polaków w Gnieźnie wytoczono proces o «podburzanie», zarzucając mu, że sprowadzał i rozpowszechniał pamiątkowe karty pocztowe wrzesińskie. W celu stwierdzenia tego zarzutu, starszy prokurator gnieźnieński wystosował do lwowskiego sądu karnego żądanie, aby przesłuchano pod przysięgą lwowskiego księgarza p. Bernarda Połonieckiego na stwierdzenie, że oskar-

żony istotnie owe kartki od niego sprowadzał.

Również na żądanie tegoż dygnitarza została wezwana do sądu Nepomucena Piasecka w celu przesłuchania śledczego. Chodziło nie o jej wydanie, tylko o zbadanie, czy jej kto w Poznańskiem nie był pomocny w ucieczce.

= W dniu 2-go listopada cmentarz łyczakowski we Lwowie stał się widownią bardzo przykrych zajść. Młodzież polska, jak corocznie, zebrała się tam, by uczcić pamięć zmarłych patryotów i bohaterów przez odśpiewanie pieśni narodowych. W tym roku jednak zjawiła się na cmentarzu także i młodzież ruska, jedynie w celach prowokacyjnych, gdyż Dzień Zaduszny przypada według obrządku grecko-katolickiego dopiero w 13 dni po uroczystości łacińskiej. Młodzież ruska śpiewała demonstracyjnie pieśni antypolskie. Polacy zachowali się spokojnie, w ostatniej wszakże chwili o mało nie przyszło do starcia. Obie strony demonstrowały potem na ulicach; Rusini mianowicie wznosili wrogie okrzyki przed redakcyą *Słowa polskiego,* w czem sekundowali im socyaliści.

= Dnia 22 b. m. odbył się we Lwowie wiec ogólno-akademicki w sprawie zreorganizowania istniejącego komitetu pomocy dla kształcącej się młodzieży z 3 zaborów. Określenie celów, środków i składu komitetu zostało sformułowane przez akademika Plutyńskiego w następującej rezolucyi:

«Dla spotęgowania sił czynnych w walce z przemocą, dla utrwalenia istotnej łączności między wszystkiemi częściami Polski, dla wzmożenia karnego i powszechnego pełnienia płynących stąd powinności polskiej młodzieży akademickiej, zebrani na wiecu w dniu 21 listopada 1902 roku postanawiamy:

Za pośrednictwem wybranego na ten cel komitetu nieść stałą, na ogólnem opodatkowaniu opartą pomoc polskiej młodzieży, której za sprawę narodową odebrano możność kształcenia się w którymkolwiek zaborze.

1) W skład komitetu ogólno-akademickiego samoobrony narodowej polskiej młodzieży wchodzi po dwóch, w zasadzie stałych członków każdego polskiego Towarzystwa akademickiego we Lwowie lub okolicy.

2) Komitet uchwala regulamin swych czynności, zbiera dobrowolne składki w miesięcznej wysokości 10 gr. na przygotowane w tym celu bloczki.

3) Za działalność odpowiedzialnym jest komitet przed ogólno-akademickim wiecem polskiej młodzieży, co roku w tym celu zwoływanym».

Rezolucyi tej przeciwstawili socyaliści inną, żądając rozszerzenia pomocy i na prześladowanych za pracę «społeczną», pozostali wszakże w mniejszości, ponieważ rezolucya p. P. została przyjęta 290 głosami przeciw 160.

= W Samborze odbył się wiec ruskich włościan. Ostrze wiecu skierowane było przeciw wiecowi włościan polskich, który się tam odbył kilka tygodni wcześniej. Uczestników wiec miał przeszło 300. Mowy były namiętne i zwrócone przeważnie przeciw urzędnikom Polakom i przeciw marszałkowi powiatowemu p. Balickiemu z racyi ich udziału w polskim wiecu. Uchwały powzięto następujące: Wiec domaga się: 1) podziału Galicyi i Rady szkolnej krajowej na polską i ruską; 2) zaprowadzenia bezpośredniego, powszechnego, tajnego głosowania do wszystkich ciał reprezentacyjnych; 3) wiec protestuje przeciw sejmowym projektom ustawodawczym, o biurach pośrednictwa pracy, włościach rentowych i gminach zbiorowych; 4) wiec wzywa Rusinów w powiecie do wpisywania się na członków do Rady okręgowej; 5) wiec wzywa Rusinów w powiecie, aby przy wyborach do Rady powiatowej głosowali na listę Rady okręgowej.

ZABÓR PRUSKI.

= Niesłychanie brutalnie postąpiła sobie policya pruska z odpowiedzialnym redaktorem *Górnoślązaka* p. Hofmanem. Został on skazany za obrazę stanu nauczycielskiego na 2 miesiące więzienia i odsiadywał tę karę w więzieniu katowickiem. Pod koniec pobytu tamże, nadszedł termin drugiej sprawy przed sądem karnym w Bytomiu.

Wówczas przetransportowano go do Bytomia wespół ze zbrodniarzami i obchodzono się z nim jak najgorzej: sypiał razem ze złodziejami

i rabusiami, przeprowadzano go przez miasto podczas największego ruchu w kajdanach, wogóle ciągle był skuty, musiał wysłuchiwać obelgi ze strony urzędników etc.

Sprawę tę ma poruszyć w parlamencie Koło polskie. Prócz tego była ona już przedmiotem rozpraw w «Związku prasy berlińskiej», przyczem powzięto rezolucye co do środków zapobieżenia podobnym ekscesom na przyszłość.

= Biblioteka Raczyńskich w ostatnich czasach przeszła całkowicie w ręce Niemców, którzy, oddawna już mając większość w zarządzie, postarali się obecnie o zmianę statutu instytucyi. Chodziło o zmianę paragrafu, który zastrzegał, że urzędnicy biblioteczni winni być urodzeni w W. Ks. Poznańskiem, a było to potrzebne do usankcyonowania wyboru p. Collmanna, hakatysty, na dyrektora instytucyi. Obecnie nic nie stoi na przeszkodzie kompletnemu zawładnięciu biblioteką przez Niemców. Prasa polska główną winę przypisuje hr. Edwardowi Raczyńskiemu, wnukowi fundatora, któremu przysługuje prawo własności do wszystkich zawartych w fundacyi przedmiotów, w razie gdyby zostało zmienione pierwotne postanowienie fundatora. Jak wiemy, to nastąpiło, a hr. Raczyński zachowuje się obojętnie i to podobno jak się sam przyznaje, z czysto osobistych powodów.

= Główny skazany w procesie poznańskim, p. Władysław Bolewski, opuścił więzienie w Nakle. Mimo przeszkód policyi, przy wyjściu z więzienia urządzono mu ze strony polskiej sympatyczną owacyę.

= Bank ziemski w Poznaniu, zajmujący się ratowaniem ziemi polskiej, uchwalił na ostatniem walnem zgromadzeniu, odbytem ubiegłego czwartku, podwyższyć kapitał zakładowy z 3 na 4 miliony marek i w tym celu rozpisać subskrypcyę na 1000 akcyi bezimiennych po 1000 marek.

= Koło polskie w parlamencie niemieckim ogłosiło następującą, przez swego sekretarza posła Głębockiego podpisaną odezwę do publiczności polskiej: W imieniu i z upoważnienia Koła polskiego w parlamencie niemieckim upraszam szanowną publiczność polską o nadesłanie jak najśpieszniejsze materyału tymczasem w następujących sprawach:

a) w sprawie bojkotu wojskowego wobec polskich kupców i rzemieślników;

b) w sprawie odebrania uprawnienia do 1-rocznej służby wojskowej;

c) w sprawie traktowania w więzieniu redaktorów polskich, jako zwykłych zbrodniarzy;

d) w sprawie niemczenia polskich imion i nazwisk w urzędzie stanu cywilnego.

Przedłożony materyal powinien być pewny i jasny, gdyż taki jedynie będzie przydatny.

= Sąd ławniczy w Katowicach skazał hutnika Tomasza C. z Nowej wsi na dwa dni aresztu za to, że na niemieckie zapytanie przewodniczącego nie odpowiedział po niemiecku, lecz powtarzał, że po niemiecku nie umie. *Katowitzer Ztg.* zwraca uwagę na to, że chodził do niemieckiej szkoły w Nowej wsi i służył 16 tygodni w wojsku w Nysie.

WYCHODZTWO I KOLONIE.

= W sprawie mianowania osobnego biskupa polskiego dla Polaków w Ameryce umieścił ks. Wacław Kruszka list w piśmie nowojorskim *New York Freemans Journal and Catholic Register*. Stojąc na stanowisku czysto katolickiem ks. Kruszka bardzo zręcznie uzasadnia konieczność obsadzenia stolicy biskupiej dla Polaków przez ich rodaka ze względu na ułatwienie stosunków pasterza z wiernymi.

= Ks. Cezary Wyszyński, proboszcz w Rio Vermelho, na granicy stanów Sta Catharina i Parana, w południowej Brazylii, powrócił z Galicyi, gdzie bawił w celu uzyskania odpowiedniej pomocy duchownej i środków na oświatę w osadach polskich. Obecnie za jego sprawą powstaje na miejscu dom kongregacyjny żeński, a 4 zakonnice polskie, które z Europy przybyły, otwierają szkołę z konwiktem. Będzie to poważny krok naprzód w dziele oświaty na tamtejszym gruncie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Nowicki.**

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.